

BLUSZCZ

Spółeciano-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 7 GRUDNIA 1929 ROKU

NR. 49

TREŚĆ NUMERU: Rodzice i dzieci — *M. Beniśławska*. 10-cio lecie Polskiego Czerwonego Krzyża — *Marja Dobrowolska*. Poezje: „Smutna historia o czterech porach roku, opowiedziana w rymach najprostszych“ — *Felicja Kruszevska*. Zawalidroga (c. d.) — powieść — *Herminja Naglerowa*. Na zapomnianym froncie — *M. H. Szpyrkówna*. Zabłąkany romantyzm — *Stefanja Podhorska-Okółów*. Z życia ekranu — *Stef. H.* Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Dom angielski (dok.) — *Stanisław Machniemicz*. U Ziemianek — *Pani Elżbieta*. Reorganizujmy nasze ogniska domowe — *mar-mor*. Koło studjów gospodarstwa kobiecego — *Marja Ankiemiczowa*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Trochę ekscentryczności — *Well*. Dodatek powieściowy: „W poszukiwaniu szczęścia“ — *Wincenty Nowak*. Arkusz wzorów.

RODZICE I DZIECI

Z biegiem czasu, który tak cudownie wszystko odmienia, zmienia się wciąż i wciąż stosunek wzajemny dwu sąsiednich pokoleń.

Był czas, że stosunek ten był bardzo prosty, wynikał z koncepcyj pod owe czasy przez nikogo nie kwestjonowanych: dziecko było błogosławieństwem rodziców, przychodzącem z łaski Bożej, jak dar, było ich przychowkiem, dobytkiem, własnością.

Czy tak było dobrze? Rodzice ówcześni znajdowali, że niema o co pytać. A dzieci? W owe czasy mówiło się, że: „dzieci i ryby głosu nie mają“. Był absolutyzm, był terror; była, oczywiście, i miłość — pod niebo wynoszona miłość macierzyńska zwłaszcza, idąca z pranawyków pokoleń, wyrosłych het, poza wpływem kultury, z których życie samo eliminowało bezzwzględnie rody niemiłujących matek, gdyż dzieci ich nie miały szans przetrwania epoki niedołęstwa, tak długotrwałej u człowieka.

Oddalenie się człowieka od natury — automatycznie oddaliło jedno pokolenie od drugiego — rodziców od dzieci. Stało się — i wszelkie nawoływania do powrotu są daremne; praktyczniej będzie raczej rozejrzeć się w tem, co jest, poszukać sposobów sprawiedliwego współżycia na terenie stosunków, jakie się wytworzyły w obecnej dobie.

Powodem wielkich zmian najnowszych czasów było wyemancypowanie się kobiety inteligentnej, która tak, jak od wieków robotnica fabryczna i wiejska kobieta z ludu, stanęła obok męża do pracy zawodowej poza domem.

Dziecko, które i przedtem korzystało niewiele z osobistej opieki ojca, teraz osierociało zupełnie. Dom rodzinny uległ rozprzężeniu.

Czy obniżenie programu naukowego dla dziewcząt i wprowadzenie natomiast przygotowania do zajęć domowych uratuje zagrożone ognisko? — Wątpię.

Współczesna kobieta nietylko nie umie jeszcze, rozumnie orjentując się i organizując swą pracę, czynić zadość obowiązkowi żony, matki i gospodyni domu — ona zamknąć się w obrębie tych obowiązków **nie chce**, a ponieważ i nie może, skoro ekonomiczne warunki zmuszają ją do pracy fachowej poza domem, skoro liczebna przewaga kobiet znaczną ilość z pomiędzy nich skazuje na życie samotne. Możliwość pracy fachowej musi pozostać otwartą dla współczesnej kobiety; sztucznie zamknięte drzwi naporem swym przemożnym wywaliłoby i tak nieubłagane życie samo. Chodzi tylko o to, aby nie wywalało ich naoslep, jak powódź, otwierająca nowe koryta po linii najmniejszego oporu, klęskowo nieraz. Kwestję zatem należy rozważyć wszechstronnie, a przede wszystkim — beznamiętnie.

Skoro dziecko potrzebuje nietylko fizycznej opieki i ochrony, ale i duchowej atmosfery rodzinnej, należy pomyśleć o tem, by mu tych nieodzownych warunków pomyślnego rozwoju nie zabrakło. Oczywiście, nie da mu tego ani upaństwowienie dzieci, ani wolna miłość. Wolna miłość była i będzie niewolą miłości, wstecznictwem, które dziś ani mężczyźnie, ani kobiecie nie dogadza. Rozkiełznanie instynktów tej kategorii, wbrew wciąż dążącej do okiełznania ich kulturze, byłoby najzgubniejszym ze wszystkich „powrotów do natury“.

Dziecko upaństwowione, „dziecko społeczne“, więc dziecko niczyje — to odrzucenie pierwiastka,

wrosłego w jaźń człowieka od zamierzonych początków rodu — pierwiastka indywidualnej miłości rodzicielskiej, miłości, która, sama jedna mając prawo ferować wyroki życia, ma też słoneczną moc rozwijania iskierki bytu w jego pełnię i piękno. To też obowiązkiem naszym nie jest wytworzyć wielką hurtownię dzieci, olbrzymi, wielooddziałowy dom podrzutków, chemicznie wyprany z pierwiastków rodzinnego życia — tylko, wobec wygaśnięcia ogniska rodzinnego naturalnego, rozniecić nowy typ tegoż ogniska kulturalnego, dostosowanego do kulturalnego już dziś, nie zaś naturalnego życia.

Nie! Stanowczo nie będzie to Herodowe wydarzenie dziecka z objęcia matki, nie zniszczenie najszczytniejszego z uczuć ludzkich — tej cudownej miłości macierzyńskiej — tylko wprowadzenie i tutaj konsekwentnie, dziś ogólnie proklamowanej zasady: na odpowiednim miejscu — odpowiedni człowiek.

Bo zapytajmy siebie: czy **każda** matka jest naprawdę wobec pielęgnowania i wychowywania swego własnego dziecka człowiekiem odpowiednim? Najoczywiście: **nie**. Czy każda matka ma w duszy tę istotną, boską iskrę macierzyństwa? Raz jeszcze: **nie!** Powiedzmy bez deklamacyj i zaślepień: bardzo nieduży procent rodziolek jest prawdziwymi, urodzonymi **matkami**, matkami z temperamentu, z powołania, naprawdę „z łaski Bożej”. Ten to właśnie nieduży procent istotnych matek użył aureoli samemu macierzyństwu, otaczając ją setki i tysiące rodziolek, najmniej do tego uprawnionych.

Kobieta nie-matka — to zresztą nie wytwór emancypacji, nie zwyrodnienie najnowszych czasów. W pierwotnym bycie sama natura wyrzucała poza obręb życia potomstwo rodziolek nie-matek; kultura zaniechała tej selekcji i atawizm wskrzesił typ nie-matki, rozwijający się tylko może dziś bujniej przy sprzyjających okolicznościach i nastrojach.

Dawniej kobieta nie-matka, nie mając nic do roboty poza domem, o ile środki pozwalały jej na to, o co przy ówczesnej taniości służby domowej łatwo było — obowiązki macierzyńskie przekazywała najpierw mamkom, następnie rozmaitego pokroju niańkom, bonom, wychowawczyniom; dziś rzeczy zmieniły się o tyle, że kobieta bardziej już rozumie potrzebę umiejętnego pielęgnowania i wychowywania od najwcześniejszego dzieciństwa, ale sama, nie czując się do tego powołana, lub nie mając możliwości zajęcia się osobiście własnym dzieckiem, gdy nie stać ją na wykwalifikowaną zastępczynię, znajduje się w pozycji bez wyjścia.

Gdyby kobieta tego typu nawet nie była zmuszoną pracować zawodowo, gdyby nawet zreformowana szkoła żeńska dała jej teorię pracy koło dziecka, byłaby z niej, ja sądzę, bardzo mierna wychowawczyni, pracująca wbrew skłonnościom własnym,

byłby człowiek nieodpowiedni przy nieodpowiedniej pracy. Dziecko w rękach rodzonej matki nie byłoby ani wzorowo pielęgnowane, ani dobrze wychowane, ani szczęśliwe.

Poradzić na to można tak, jak się poradziło w wielu innych wypadkach: trzeba oddać pracę w ręce, naprawdę do niej powołane, a środki na to znaleźć przez zrzeszenie się pracodawców.

Gatunek kobiet-matek nie zagał, istnieje. Te odnaleźć, wykształcić, tym dać dzieci w opiekę w internatach dla najmłodszych dzieciaków, nie tworząc jednak „hurtowni”, tylko imitację licznej rodziny naturalnej, wtedy cel — możliwie idealne warunki dla dziecka i ulżenie w pracy matkom — będzie niechybnie osiągnięty.

Czy przez to stosunek dwu pokoleń odmieni się na gorsze? Nie sądzę.

Gdy chodzi o dzieci matek, nieznoszących wprost zajęć przy dziecku, kobiet, które dzieci męczą, denerwują, wyczerpują, drażnią — stosunek ten bywa i teraz tak fatalny, że obawa o pogorszenie go zakrawa na gorzką ironję. Gdy chodzi o kobiety, pozbawioną przygotowania fachowego, przywiązaną do dzieci, ale nie mającą dla nich dość czasu, zmuszoną zdać je na łaskę i niełaskę służącej „do wszystkiego” — znowu internat dać może tylko polepszenie warunków. Gdy wreszcie kobieta z typu matek (bez względu na to, czy ma, czy nie ma dzieci własnych) pragnie oddać całe swe siły wychowaniu i pielęgnowaniu, a czynić tego nie będzie mogła w obrębie własnego domu — założenie „domu dzieci”, „ogniska rodzinnego”, czy jak się to będzie nazywało — da jej doskonałe wyjście: możliwość uspołecznienia swych instynktów macierzyńskich. Taka osoba, wykształcona odpowiednio, pracę dla dzieci będzie miała właśnie za swoją pracę zawodową i stanie się odpowiednim pracownikiem na odpowiednim stanowisku.

Taki internat zresztą w założeniu nie będzie miał na celu izolowania dziecka od rodziców, jak i dziś internaty dla dzieci w wieku szkolnym. Kontakt, owszem, najczęstszy dziecka z rodzicami będzie przez opiekunki najstaranniej kultywowany, a i sami rodzice w ścisłym porozumieniu z zastępczynią swą w internacie lepiej nauczą się obcować z duszą swojego dziecka, tak niedostępną, tak zamkniętą przed ludźmi, nie znającymi słowa zakłęcia, choćby byli życiodawcami danego dziecka.

Pewnie, będą i tu szkopy, niedomogi, złe strony, tak jak we wszelkich poczynaniach ludzkich. Sprawę należy bardzo głęboko przemyśleć, a projekt w życie wprowadzać mądrze i oględnie, nie obiecując sobie odrazu osiągnięcia doskonałości. Głęboko jednak wierzę, że po tej linii należy iść, nie obawiając się zbyt pogorszenia, choćby dlatego, że tak, jak jest obecnie, jest źle i że tak być nadal nie powinno.

M. Benisławska

MARJA DOBROWOLSKA

10-LECIE POLSKIEGO CZERWONEGO KRZYŻA

W huku dział, w łunach pożogi, w krwawych oparach i smugach osłon gazowych narodził się Polski Czerwony Krzyż. Narodził się, jako wyraz miłości bliźniego, jako nieodzowna potrzeba chwili.

W okresie wojny społeczeństwo, instynktem samozachowawczym wiedzone, wspierało gorąco poczynania P. C. K., czego wyrazem cyfrowym był **miljon** członków, nie licząc mnogich zastępów bezinteresownych i płatnych pracowników.

A gdy po srogiej zawierusze na Polską ziemię spłynęła cisza, Polski Czerwony Krzyż pozostał.

Walcząc po wojnie z różnemi przeciwnościami losu, z niezrozumieniem i obojętnością własnego społeczeństwa, P. C. K. przetrwał i święci w tym roku dziesięciolecie swego istnienia, legitymując się przed społeczeństwem dokonaniami za ten okres pracami.

Nie od rzeczy będzie zatem rzucić okiem na historję jego rozwoju i działalności humanitarnej.

Wiosną 1919 r. zebrali się w Warszawie na wezwanie Sanitarjusza Polskiego przedstawiciele organizacji sanitarno-społecznych, stwarzanych w okresie Wielkiej wojny dla niesienia pomocy wojsku i ludności cywilnej. Organizatorzy pragnęli rozproszone swe siły i nabyte doświadczenie skonsolidować w jednej instytucji, niezbędnej w każdym cywilizowanym państwie: w Czerwonym Krzyżu.

Po kilku konferencjach utworzono Polski Czerwony Krzyż na zasadach międzynarodowego Czerw. Krzyża, założonego w 1864 r. przez wiekopomnej pamięci Henri Dunant. W skład władz P. C. K. weszli członkowie Polskiego Komitetu pomocy sanitarnej (zał. w 1914 r.), stowarzyszenia Czerw. Krzyża z Małopolski i Wielkopolski oraz innych pokrewnych organizacji. Tak zjednoczona instytucja już w lipcu 1919 r. wcielona została do rodziny Czerwonego Krzyża i, jako członek międzynarodowego komitetu tej instytucji, bierze co roku udział w obradach w Genewie, składając obowiązujące roczne sprawozdanie ze swych prac. W skład tych posiedzeń wchodzi przedstawiciele 56-ciu państw świata.

Nadciągająca do nas w 1919 r. ze wschodu burza porwała całe zastępy zapaleńców w wir pracy P. C. K. A chociaż warunki ekonomiczne w kraju były niesłychanie ciężkie i wszystko nieomal trzeba było stwarzać z niczego, jednakże przy pomocy całego społeczeństwa, rodaków z Ameryki i zagranicy, zrobiono ogromnie dużo.

Ratowanie rannych i troskliwa nad nimi opieka, pomoc dla jeńców i inwalidów, szkolenie personelu sanitarnego, referaty oświatowe dla żołnierzy-analfabetów, pozostających w szpitalach, sekcja

Chrzestnych Matek i t. d. — wymagały ogromnej, gorączkowej pracy. Patrząc dziś już retrospektywnie na te czyny, doznajemy uczucia dumy. Bo zdolano stworzyć 15 szpitali frontowych, 13 szpitali na tyłach armji, 5 zakładów dla żołnierzy-ozdrowieńców, 6 pociągów sanitarnych i sanitarno-kąpielowych, 7 punktów sanitarno-odżywczych. Skrócone kursa sanitarne wyszkoliły 4225 siostr P. C. K., które pracowały na froncie i w szpitalach pod kierunkiem lekarzy i instruktorów.

Silą rzeczy musiano się zająć rejestracją poległych i rannych. W kartotekach P. C. K. pozostało 850.000 tysięcy nazwisk...

Roztoczono opiekę nad jeńcami polakami, którzy przebywali jeszcze w koncentracyjnych obozach niemieckich w okropnych warunkach. I ratowano nieszczęsnych jeńców-rodaków z Gehenny bolszewickiej, gdzie zmarli w licznie 5-ciu tysięcy. Biuro informacyjno-wywiadowcze P. C. K. załatwiło 46.000 spraw.

Dalszą pracą była pomoc dla zdemobilizowa-



Drużyny ratownicze P. C. K. na pokazie w d. 10 listopada na terenach P. C. K.



Pokaz ratowania zatrutych gazami.

nych żołnierzy, wracających z frontu w nędzy i niemających literalnie, ani co jeść, ani w co się ubrać. Pomoc dla uchodźców z Ukrainy i Rosji przybrała duże rozmiary w miastach kresowych wobec panującego w Rosji duru brzuszego. Szpitale P. C. K. w Równem, Brześciu nad Bugiem, Słonimie i Baranowiczach leczyły 6447 repatriantów.

Zaledwie ochłonięto z gorączkowej pracy, gdy w 1921 r. powstanie na Górnym Śląsku wymagało znów pomocy w postaci punktów opatrunkowych i sanitarno-odżywczych. Założono wówczas szpital w Toruniu na 200 łóżek.

Wszecławiatowy Czerwony Krzyż, biorąc za godło Krzyż — ten symbol wszystkoogarniającej miłości i zrozumienia — jest tem samem krzewicielem idei braterstwa ludów i pokoju. Miłując ludzkość, prace swe musi tak organizować, aby każdej chwili nieść pomoc tam, gdzie uderzy dzwon na alarm. I dlatego Czerwony Krzyż wszędzie na świecie jest instytucją stałą, otaczaną przywilejami państwowymi i szacunkiem społeczeństwa.

Nasz P. C. K. obraca w czasie pokoju swe prace humanitarne na cele ogólnospołeczne. Podzielony obecnie na 16 okręgów z 260 oddziałami, na całym terenie Rzeczypospolitej posiada: 7 szpitali, 4 sanatoria, 14 lecznic i ambulatorjów, 15 poradni przeciwgruźliczych, 21 stację sanitarno-odżywczą, 20 sta-

cyj opieki nad matką i dzieckiem, 5 gabinetów do naświetlań. A dalej: 8 burs dla chłopców, przytulisko dla robotników sezonowych, kolejowe pogotowie w Poznaniu i t. p.

Uważając za jedno z głównych zadań szkolenie personelu sanitarnego, założono 2 wzorowe szkoły z kursem dwuletnim dla pielęgniarek zawodowych. Prowadzone są 8-mio miesięczne kursa przeszkolenia siostr w Domu Macierzystym i trzymiesięczne kursa dla siostr Pogotowia Sanitarnego, które to kursa powinien organizować każdy oddział.

W okresie pokoju P. C. K., nie przerywając prac zasadniczych, niósł wybitną pomoc w czasie wybuchu w Cytadeli w 1923 r., podczas powodzi w Warszawie w 1924 r., w czasie walk ulicznych w 1926 r., w czasie powodzi w Małopolsce w 1927 r. Niemożliwością jest wyliczenie gorliwej pomocy, jaką niosą okręgi i oddziały, zapobiegając każdej lokalnej klęsce, zaspokajając potrzeby społeczne.

Wspomnieć też należy o Kołach młodzieży P. C. K., które uznane zostały na całym świecie za znakomity czynnik wychowawczy w duchu solidarnej pracy obywatelskiej w imię miłości bliźniego.

Młodzież 30-tu krajów jednoczy się w tej pracy z naszą młodzieżą, przeprowadzając korespondencję międzyszkolną i międzynarodową. Koła Młodzieży P. C. K., biorąc w tej wymianie gorący udział, przyczyniają się tem samem do krzewienia idei pokoju i miłości bliźniego, popartej czynem i osobistą pracą.

W związku z przypadającym 10-cio leciem P. C. K. odbył się w Warszawie szereg uroczystości. Uroczyste nabożeństwo w katedrze Ś-go Jana odprawił J. Em. Ks. Kardynał Kakowski. Następnie ruszono pochodem ku mogile Nieznanego Żołnierza. W pochodzie wzięły udział drużyny ratownicze, szeregi siostr, poczty sztandarowe, członkowie Zarz. Głównego, Komitetu, delegaci w ogromnej liczbie z całej Rzeczypospolitej i delegacje Kół Młodzieży P. C. K. Na terenie szpitala P. C. K. (przy ul. Smolnej 6) odbyły się pokazy ratownicze i obrony przeciwgazowej, budzące zrozumiałą sensację. Teren przedstawiał plac boju z niezbędnymi urządzeniami P. C. K.

W kraju naszym, gdzie warunki sanitarne miasteczek i wsi są opłakane, gdzie guślarstwo i zachorstwo nietylko po zapadłych kątach cieszy się uznaniem, gdzie brak kultury daje się dotkliwie we znaki — humanitarne prace P. C. K. nabierają tem większego znaczenia.

To też wpajać należy w ogół przeświadczenie, że Czerwony Krzyż jest niezbędny w każdym cywilizowanym kraju, a u nas w szczególności, że powinniśmy znać zakres jego prac i popierać go we wszelkich poczynaniach i że płacenie drobnych rocznych składek nie jest filantropją, ale naszym obywatelskim obowiązkiem.

FELICJA KRUSZEWSKA

SMUTNA HISTORIA O CZTERECH PORACH ROKU,
OPOWIEDZIANA W RYMACH NAJPROSTSZYCH

Zimą było mroźno i białe
i nic, i nic się nie stało.

Mróz trzymał serce w kleszczach, nieposłuszne prostował palce.
(Jakżeż było myśleć o pracy? Jakżeż było pomyśleć o walce?).

To jedno: zgubić się w pustce. To jedno: zamilknąć w ciszy.
(Nikt nie znajdzie, nikt nie posłysz!).

Jakżeż było przerażać ścieżeczkę wśród lodowego ogromu?
Jakżeż było do domu się schronić, kiedy nie było domu?

Więc czekało się, aż przyjdzie wiosna
(wiadomo, wiadomo — „radosna“).

Zapłuskała ciepłą ulewą, przeszyla fiołkowym zapachem.
Podnosiła pod samo niebo, tu i tam ciskała z rozmachem.

Czasem na mokre liście — czasem na ostre noże —
(O mój Boże, mój Boże, mój Boże!).

Obalila mszelkie zapory, potargała wszystkie wędzidla,
dłonie miała piekące, jak ogień, i chłoszczące, świszczące skrzydła.

Że już brakło tchu — i czekało się lata
(Może zbawi? Może wróci dla światła?).

Skoczyło. Targnęło w żyłach mocnym, gorącym szkarłatem.
Ach, i było pieką pożarną, ach, i było płomiennym katem.

Przepłynęło dymiącym miodem po niebie, po ziemi, po wodzie.
(Woda paliła naroskoś. Piolun! Piolun był w miodzie!).

Precz pędziło dalej i dalej od złotego pszennego stołu
i podawało margom zgłodniałym szarą garsteczkę popiołu.

Więc czekało się już tylko jesieni
(kiedy przyjdzie, może coś odmieni?).

Przyszła ruda, przyszła czerwona i nie zdołała pocieszyć.
Wiatr sięgnął do piersi po serce. Wiatr nie chciał, nie chciał rozgrzeszyć.

Pięścią twardą w okno łomotał. Nie było przed nim schronienia.
Był okrutny, był bezlitosny i ostry, jak głos sumienia.

Tylko liście, już tylko liście
(cicho, cicho, złociście),
gdy chłód je podciął i zwarzył,
głaskały po włosach, po twarzy.

Nie to, żeby chciały przysypać, nie to, żeby chciały przebaczyć,
mówiły, że dobrze jest tak — upaść i nic już nie znaczyć.



HERMINJA NAGLEROWA

31)

ZAWALIDROGA

(powieść)

Z biura koleżeńkiego udało się chwycić parę korepetycyj, aby dzwonić srebrniakami na własną potrzebę. A jeszcze godniej poczał Franek występować, gdy w „Głosie” wydrukował kilka wierszy.

Franek nie przypuszczał, że tak łatwo jest znieść powodzenie. Prawie się go nie czuje, prawie nic nie waży. A mimo to, trochę inaczej się stapa, trochę inaczej modeluje głos. I jeszcze coś: — poczuwa się do odpowiedzialności za siebie samego. Zwłaszcza teraz przed rozgrywką, gdy jakiś kolega mówił: — Trzymajcie się na turnieju, nie zróbcie nam wstydu! — trzeba było mierzyć swoją wartość porównawczo. To znaczy — zestawiać jedną niewiadomą z drugą. Bo przecież nie można wiedzieć, czy naprawdę te wiersze, które pisze, są dobre, a napewno nie można wiedzieć, czy ktoś inny nie napisał lepszych. Czy właśnie nie ten „genjalny” Wawar?

Franek niepokoił się jednak nietylko brakiem realnego sprawdzianu. Wyczuwał jeszcze niebezpieczeństwo, mieszczące się w nieprzewidzianym nastroju chwili, w krzyżujących się falach energii, rozstrzygającej niejako — personalnie. Więc nie wiersz, ale osoba, nie słowo, ale żywy głos, nie treść, ale wrażliwość słuchaczy. Najeżał się zwłaszcza przeciw Wawarowi i przeciw niemu się zbroił w wolę zwycięstwa. Ale żółty afisz poraził niepewnością i Franek nie ufał już swoim wierszom. Idąc po schodach, przepowiadał je sobie niemal z obrzydzeniem.

W domu czekał na niego Janek, który, leżąc na rozkopanym łóżku, wyglądał się dowcipami.

— Stęskniłem się z tobą, byku! A tymczasem flirtowałem z Martą, która mocno strzeże twojej cnoty. Wiem już, że jest z ciebie niezadowolona, bo spóźniasz się na obiady i kolacje. Czekaj, zaraz ci to powie własnościnnie.

Marta była jednak w znakomitym humorze i z wdziękiem prowadziła dyskurs. Wreszcie nie mogła już ukryć tej nowiny, że pan pułkownik przyjechał i poszedł z panią „chiba do teatru, czy do kina”.

— Już go tu dawno nie było — informowała Janka, aby wiedział, że wydarzenie ma swoją wartość.

Franek odbiegł wzrokiem od Janka i Marty, mówiąc niby do ścian, do sprzętów, a połączki, jak guma, opierały się ruchowi warg: — że pułkownik okazuje tyle przyjaźni, że mu tak wiele zawdzięcza. Wyliczył nawet wszystkie spamiętane dobrodziejstwa, bo i to mieszkanie, które pułkownik dostał przez rekwizycję, a potem matce odstąpił, i tyle innych przysług, tyle prawdziwej życzliwości...

Marta żarliwie przyświadczała, że trudno o lepszego człowieka. A i teraz nawiózł tyle prezentów! Ordynans ledwie udźwignął pakunki.

Franek, zły na siebie, że mu twarz tak nieposłuszenie napływa krwią, nie mógł już nic miłego wymyślić o pułkowniku. Suponował nawet, że przekupił Martę jedwabną bluzką. Ale Marta odcięła się z satysfakcją.

— Co tam dla mnie! to dla panicza jest osobny prezent, tylko, że pani schowała do szuflady. A teraz proszę zgadnąć, co?

— Dla mnie? — oburzenie rozparowało się, jak wrzątek. — Napewno Marcie się zdawało, bo poco dla mnie?

Najwyraźniej usłyszał, że śmieją się oboje: Marta jakby chytrze, a Janek złośliwie.

— Cóż to takiego? — dopytywał się Janek. — Bardzo jesteśmy ciekawi.

— Rewolwer! — Usta Marty nie domknęły się w triumfalnym okrzyku i tylko patrzyła, jakie to wywoła wrażenie. Wiedziała przecież, że Franek marzył o rewolwerze i że matka mu przyrzekła, ale jakoś nie mogła się zdobyć na ten wydatek.

— A masz już pozwolenie na broń? — zainteresował się rzeczowo Janek. — Przez pułkownika łatwo dostaniesz.

— Pewnie, pewnie, wszystko dla nas zrobi pan pułkownik — przechwalała się Marta — coby zechcieć, zrobi.

Franek wiedział wprawdzie, że Adonis nasycił się tą całą sprawą, że smakuje w tem wszystkim, jak łakomieć i koneser, ale było to w tej chwili mniej ważne. Stwierdził tu przecież dla siebie, że matka rozmawia z pułkownikiem o nim, że coś tam sobie o nim mówią, bo skądżeby pułkownik wiedział o rewolwerze? Bezprawnie i samowolnie włączali go w swoje sprawy i jakieś mu wyznaczali miejsce według własnego uznania. I tak, nic nie wiedząc o tem, miał jeszcze jedną pozycję, jeszcze jedno znaczenie, jakby jeszcze jedno życie wśród tych dwojga. Obojętne było, czy odnosili się do niego życzliwie, czy go może nawet nienawidzili, skoro tak, czy owak dopuścili się na nim gwałtu. Powie to matce, zakaże jej, niech go z tem wszystkim nie miesza!

XXXI.

Było tak, że Jerzy po wyjeździe z Warszawy, jakby wsiąkł w swoje białostockie mizerje. Więc wszystko, co się rozumnie i prawie samo z siebie uło-

żyło, nie chciało się wcale zrealizować. Franek wyjechał przecież do ojca, a Jerzy miał spędzić urlop w Warszawie i w tem oczekiwaniu grzała się Zofja, jak w słońcu. Przystrajała każdy dzień, niczem święto, bo każdy mógł się stać radosnem wydarzeniem. Ale Jerzy nie tylko nie przyjeżdżał, nie pisał nawet. Zofja przechodziła więc pokolei fazy samotności, obaw, gniewu i najwewnętrzniejszego poniżenia. W jej listach do Jerzego stopniowała się niecierpliwość, aż do brutalności, niby w natrętnych upominaniach się wierzyciela. Nie było jednak innego trybunału nad własne osądy, ani innej kary nad własne cierpienie.

Z daremnego oczekiwania i z głęboko odczuwanej obrazy zrodziła się wreszcie rozpacz — rozczochrany stwór, wykrzykujący obłąkane słowa. I w tym obłądzie spalał się Jerzy, jak w ogniu, aby znowu odradzać się, niczem salamandra, w jaskrawszych i jeszcze piękniejszych barwach. Ubocznie, od jakichś znajomych dowiedziała się Zofja, że pułk Jerzego brał udział w grze wojennej w nowogródzkiem, więc już skłaniała się do wybaczenia win, gdy ktoś inny powiedział jej, że Jerzy był w Warszawie, że tego a tego dnia, o tej właśnie, dobrze zapamiętanej godzinie rajcował z oficerami w Europejskiej. Od tych wiadomości zataczała się, jak kukła od bokerskich razów, i tylko czasem, niby rozpalonym drutem, przedzierał się ból i wstyd, że tak nic nie znaczy ani sobą, ani swoim uczuciem, ani nawet pamięcią pewnych chwil.

Franek zastał już matkę w stadjum smutku, który, jak pokutniczy habit, doskwierał jej umęczonemu ciału. Sprawy Franka miały jednak smak życia i dlatego mogła w nich Zofja odnaleźć świadomość dobra i zła. Już bez pozy, stosowanej dotychczas, jako metoda wychowawcza, komentowała kalinieckie nieporządki. Jej mowa była teraz jawna i nawet dobrze było, że mogła wyraźnie potępiać. Mówiąc z Frankiem tak jadowniczo o ojcu, brała odwet za wszystko, co już, niby osad, opadało na sam spód pamięci. Wracała do swoich dawnych, zwiędzłych cierpień, aby odnaleźć w nich jeszcze żywe wzruszenie. Ale tamte krzywdy zastygały w rezerstwie, niby w przejrzystej bryle lodu, a natomiast odnawiał się pulsujący gniew przeciw Jerzemu. Umiała go już teraz nienawidzieć, potrafiła już nim pogardzać. Wszystkie wady, których kiedyś nie chciała dostrzegać, oblepiły go, jak krosty, i tak go sobie systematycznie obrzydziała, że ledwie jeszcze, niby mała, przechowana pamiąteczka, pozostała tajemna tkliwość dla jakiegoś gestu, jakiegoś czulego słowa. Niekiedy jednak w nagłym zrozumieniu swo-

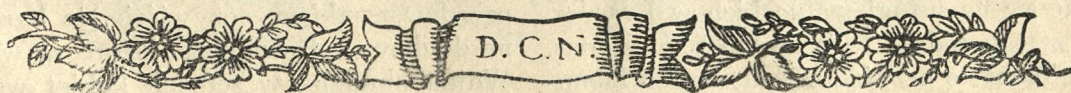
ich rzeczywistych uczuć musiała Zofja przyznawać się do obłudy. Bo przecież skłamane były te wszystkie niechęci, a prawdą jest bezustanna tortura tęsknoty. Wtedy, jak chory pies, zaszywała się Zofja w kąt swojego pokoju i jęczała cicho, żałośnie.

Gdy jednak minęły bezrobocze dni lata, Zofja musiała znowu odnaleźć uśmiechy miłe, grzeczne i kupieckie. W gospodarstwie stało się bowiem ciasno, niby w obłożonej, głodującej fortecy. Marta projektowała obiady z cienkich zup i z ziemniaczanych kombinacyj, a w wyświeconych posadzkach przeglądała się troska o każdy następny dzień. Sklepiarz już nagłos wykrzykiwał swoje niezaprzeczone racje, dozorca zaniedbywał się w ukłonach i powszednie troski obrastały Zofję, niczem chropawa kora.

Klienci zgłaszali się zrzadka i jakby z łaski, więc trzeba było z karteluszkami biegać po sklepach, dopraszając się czyjejs uprzejmości, aby gdzieś w widocznym miejscu umieszczono czule zawiadomienie o pracowni abażurów, o niskich cenach i wszelakich udogodnieniach. Krawcowe i modniarki z frontowych magazynów nie raczyły sobie przypomnieć, że Zofja bywała „odbiorczynią“, a ich przyzwolenie można było dopiero odnaleźć w lustrze, do którego zwracały się twarzą, aby natrętnej petentce pokazać nieuprzejme plecy.

Ale jakoś po dwóch, trzech tygodniach przywędrowali dawni i nowi klienci, jeszcze opaleni, jeszcze wszystkiemu radzi po letnich wywczasach. Można było nasmiać się z tymi obcymi ludźmi i nasłuchać się relacyj o „świetnie spędzonych“ wakacjach. Rozmawiało się o czemkolwiek gładziutko z towarzyskim szykiem, oblaskawiało się kaprysy na wszystko gotową usługowością. Na stole znowu plątały się kolorowe szmatki, a druty szkieletów obrysowywały wieloraki kształt. Marta mogła już z dostojną miną dopytywać się, co dziś będzie na obiad, i nawet spierać się o przysmaki dla Franka. Wreszcie dla własnej satysfakcji należało sobie sprawić nową suknię, aby nieuprzejma właścicielka magazynu w przymierzalni pokornie ukłękła u stóp Zofji. Były to małe sukcesy, dające niezwłoczne zadowolenie, więc Franek, wracając do domu, słyszał wesół głoś matki i jej śmiech, trochę przekorny.

Wtedy to właśnie przyjechał Jerzy. Dzwonek przy drzwiach zadźwięczał zwyczajnie i nie zaciekawil nawet okrzyk Marty. Dopiero mocne kroki w przedpokoju wydały się znajome i — nieprawdopodobne. Ale trzeba było wszystko wytrzymać i w sobie zataić, bo zdziwienie prześcigało się z obcością i już bezambitnie tłukła się po ciele radość.



M. H. SZPYRKÓWNA

NA ZAPOMNIANYM FRONCIE

Wiara żywa! Jest to wyrażenie, szczególnie do-
brze oddające treść rzeczy: czynna, ruchliwa, wychodząca do codziennego życia. Nie zasklepiona w szereg przepisowych formułek, z których uszła treść.

Przyglądałam się tego roku tej żywej wierze i zestawiałam ją z wiarą przepisową u nas. Przyglądałam się nie u nas: w Lourdes. U kobiet, które postanowiły bądź swoją wdzięczność za uzdrowienie, bądź swoją prośbę o nie ubrać w formę czynnej, twardej i codziennej służby sprawie, którą uważają za sprawę bożą.

A jest i jeszcze inna, obszerna kategoria kobiet, które służą nie z wdzięczności i nie na wykup: służą — z miłości. Z prawdziwie chrześcijańskiego stanowiska służenia tym, którzy pomocy potrzebują. Wszystkie nakazy ewangeliczne, zawarte w postulatach, aby głodnego nakarmić, nagiego przyodziać i t. d. — tu skupiły się, zjednoczyły i skondensowały w jednym przymiotniku: chory — i do niego wszystkie czasowniki są dostosowane. Chorego nakarmić, chorego pocieszyć, chorego przyodziać, choremu na wszelki żywy sposób dopomóc. I poto te kobiety tam z najdalszych końców ojczyzny — a nieraz i obczyzny — zjeżdżają, aby ów nakaz możliwie najdoskonalej wypełnić i wprowadzić z ksiąg katechizmowych w codzienność.

Myślałam nad tem, że w Polsce czynne służenie nędzom i niedolom bliźniego jest — niepopularne. Nie mogłabym powiedzieć, naprzykład, że go nie ma! Jest. Jest i przejawia się w formie nieraz głęboko pięknej i wzruszającej. Ale jest to niejako zdarzenie prywatne. Mamy całe grupy społeczne, takiej służbie oddane, temu jedynie poświęcone. Ale właśnie tego, żeby człowiek prywatny w domu, u siebie, niezrzeszony w żadne dobroczynne grono i przeciętnie tylko ewangeliczny, miał w swoim cywilnem życiu okres, miejsce, czas i koszt, na taką służbę pospólną przeznaczony — to się u nas zdarza rzadko. To się u nas zdarza — prywatnie. To nie weszło u nas jeszcze na arenę powszechności, nie znalazło sobie wielkiego centrum praktycznego, jak naprzykład jest Lourdes we Francji. Nie z braku ofiarności, zapewne! Nie złożyło się. Niema na to jeszcze... mody. Jakkolwiek to wygląda kazuistycznie, jednak naprawdę tak jest! Na Lourdes we Francji, w tej okrzykanej za ateistyczną i bezbożną Francji, zaczęła się swego czasu dosłownie moda, czemu zresztą dał wyraz w swojej książce Zola. Panie z mondu uznały, że to robi dobrze: poświęcić się na usługi maluczkich w Lourdes. Zrobiły pono z tego rodzaj światowego rendez-vous. Nie wiem! Trudnoby to przyjąć bez zastrzeżeń komu-

kolwiek, kto zna pracę podczas pielgrzymek tych pielęgniarek i kąpielowych, które chorych pielęgnują, kąpią i obrządzają. Naprawdę, nie jest to zabawne i rozrywkowe, nawet fizycznie. Przeciwnie! To — ciężka praca. Odrażająca, bezlitościwa, niebezpieczna i w najwyższym stopniu szarpiąca naprężone nerwy. Lourdes podczas pielgrzymek, a praca przy rannych na froncie, to ma dużo analogij. Niema tam miejsca na romantyzmy liryczne: wszystko napręża siły ku wydolaniu technicznemu obowiązkom, które są surową regułą, konieczną dla utrzymania w karbach porządku i wprost bezpieczeństwa ogromnej maszyny, jaką jest każda pielgrzymka a coś dopiero — kilkanaście ich razem, jak to miewa miejsce podczas wielkich napływów w jesieni! Nie, to nie jest zabawne spuszczać odrażające, zgangrenowane ciała do wody, zmętniałej nieraz od krwi i ran, ani podnosić obolałe, jęczące, straszliwie pokręcone przedziwnymi chorobami ciała ludzi, którzy wierzą, że wyjdą zdrowi! A cud się zdarza nie codziennie, a tysiące odchodzą — nie! są odwożeni bez zmian na lepsze tam, gdzie jednostki jedynie są uleczone! Na to trzeba patrzeć, do tego trzeba się umieć mądrze i cierpliwie ustosunkować, to trzeba w sobie samym przetrwać i rozstrzygnąć dodatnio, ażeby im, wątpliwym, udręczonym, zawiedzionym może, umieć dopomóc i wlać otuchę w zwątpiałe, a pokorę — w zbuntowane serca!

Obowiązek pielęgniarki przy chorych jest wielki i trudny właśnie przez to, że dotyczy zarówno ciała, jak i ducha — i połowiczne jego pełnienie połowiczne tylko może przynieść wyniki. Nie! Dla światowej rozrywki nikt o zdrowym umyśle nie może się udać do miejsca najwyższego cierpienia: chyba sadysta. A przeciwnie, zarząd bardzo uważa na to, żeby osoby, oddane służeniu chorym, miały całą równowagę życiową i nie były wypaczone przesadnym sentymentem w żadnym kierunku, gdyż byłoby stąd tylko więcej chorych.

A jednak — światowe kobiety tam są, i jest ich wiele. I twardo pracują, i ciężko dźwigają moralne i fizyczne obowiązki podjętych prac.

I tego u nas, mam wrażenie, niema. Szłyśmy na front i do szpitali, prawda! Ale to była wojna: czas wyjątkowy, czas krwi i miecza, czas, kiedy pociski, padające na froncie, uderzały tu stokrotnymi ciosami i wzywały, aby raczej paść razem tam, niż tu żyć w męce bezczynnu. Wtedy ogień wojny zapalił wszystkie serca, wszystkie sfery i klasy, i nawet przedewszystkiem, oczywiście, te bardziej rozbudzone duchowo, obywatelsko, które są wyżej społecznie. Wojna obudziła w sercach kobiet wspaniałe płomie

ofiarniej pracy: na froncie, po szpitalach, po kantinach, po komitetach, gdzie wszystko pracowało wspólnie — wszędzie! Ale wojna minęła, duch opadł, życie weszło w łożysko. I ewangeliczna niejako gmina Wielkiej Ofiary, jaką wtedy stworzyły kobiety, umarła śmiercią naturalną: nie było potrzeba już tego wysiłku nadzwyczajnego, który był uwarunkowany przez nadzwyczajne także wypadki wojny.

I tu jest nasz niedobór. Ktokolwiek miał sposobność widzieć w Lourdes pielgrzymki z chorymi — po dwustu, czterystu, tysiąc chorych, kalekich, straszliwych kadłubów ludzkich, jęczących resztkami życia, skupionego w ból — ten zrozumie szczególnie jaszkrawo, że front straszliwy front męki i ran, trapiących ciało ludzkości — nie umarł. Istnieje, żyje, męczy się i umiera bez pomocy, bo — jest teraz na tyłach, nie na linii strzałów. Bo przestał jedynie być bohaterem; owszem, nieraz wprost przeciwnie: umiera nie ranami zasługi, a odrażającą gangreną grzechu. I — opuściliśmy go. I nie idziemy już ku niemu na ratunek i pomoc, aby go dźwigać, osłabić i ratować, aby go nie dać zagłodzić! Opuściliśmy go. Nie wiemy o nim. Skrył się gdzieś po szpitalach i norach nędzy, po przytułkach dla rakowatych i po gniazdach wszelakiego występku. Zaczaił się nisko przy ziemi w ciemni nieznanych nam dolów społecznych i tylko od czasu do czasu, jak robactwo z nor, wyraża się na widownię, zwabiony pobudką, że gdzieś, ktoś, jakoś został oto cudownie uzdrowiony. I pełźnie naówczas kaleka armja, smagana biczem kary przez los — za winy własne? Cudze? Czy może, aby na nich okazana została moc Boża, słowami ksiąg?... Dość, że ciągną kalecy ułomni i nieszczęśni, pokręceni wszystkimi torturami ciała, ku dalekim punktom ziemi, gdzie im świta słabiutka, ostatnia nadzieja uzdrowienia i pomocy — do wielkiego słońca miłosierdzia. Straszliwa pielgrzymka; wstrząsający grozą legjon chromych, ślepych, sparaliżowanych i ropiejących, dla których wiedza ludzka już nie może, a może tylko On: Bóg.

Wiedza nie może. Ale dobroć — przecież może zawsze!

Może osłodzić bodaj ostatnie chwile umierania, tak straszego nieraz umierania! U Zoli jest wstrząsający opis takiego chorego, który, nikomu nie-

znany i znikąd niezapisany, wczółgał się do wagonu pielgrzymki i padł na twardą ławkę, nawet dla tych już, niepewnych własnego życia ludzi straszliwy ostatnią, przedśmiertną bladością. I skonał po kilku godzinach, nikomu nieznanym, przez nikogo nieodprowadzonym, wyzbyty jakichkolwiek dokumentów i mający w kamizelce kilka miedziaków kapitału. I już nieżywy, czas jakiś jechał z nimi, głową tłukąc o twarde drzewo ławki; i bez słowa czyjejkolwiek dobroci i pociechy połknięty przez straszliwą paszczę śmierci, która go zdusiła pod wyszarzaną peleryną, jaką zasłonił dygocące — może przerażeniem swojej sierocy i bezradnej, wilczej zaiste samotności, ciało? A był wkoło niego tłum...

A wielu takich umiera samotnie dziś wszędzie, w każdym wielkim mieście, wśród was — wśród nas?... A wielu takim jedna dobra ręka z trochę ciepłego napoju i jedno dobre serce kobiece z trochę miłości — tę ostatnią, tę straszną walkę ze śmiercią uczyniłoby lżejszą i może niepostrzeżoną? Wielu by usnęło, zamiast umrzeć? Wielu by ostatniem błogosławieństwem zdjęło z nas ciężar naszego własnego losu, który, czyż wiemy, gdzie i jak na nas czyha z za węgła? Front straszliwego, codziennego cierpienia, gorszego, bo wyzbytego bohaterstwa, jakim opromieniony był front wojenny: wciąż jest. Ale myśmy odeszły.

Powróćmy! Wydzielmy część naszego spokoju na ich udrękę, część naszej dobroci na ich zło, część naszego szczęścia na ich straszliwą niedolę! Przypomnijmy o tych bezsłownych, a przecież równie i gorzej cierpiących ciałach, które po szpitalnych salach lub po barlogach domów noclegowych i przytułków umierają śmiercią bezmiłosierną! Pomyślmy o nich, zaczawszy od świąt, które niezadługo zapłoną radosnymi świeczkami po naszych domach; pomyślmy o nich, bezdomnych i bez-serdecznych, o których nie myśli nikt bliski! Poślijmy, zanieśmy, rozdajmy po zakładach miłosierdzia to niewiele, czy wiele, co dać możemy, ale dołączmy do tego serce — bodaj w kształcie piernika z choinki, które zawsze będzie obrazem pamięci i troski. Uczynimy dobroć naszą — dobrocią żywą dla tych właśnie, których życie najbliższe może się przechylać w groźną i zimną otchłan opuszczenia i rozpacz: nie dajmy, aby odeszli nie pocieszeni.



STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

ZABŁĄKANY ROMANTYZM^{*)}

Dalekam od mej doby,
O tysiąc mil dalekam,
Z dni dawnych same groby,
Dni nowych nie doczekam!

A kładka między niemi,
Po której iść się boje,
To „dziś”, co się obcemi
Oczyrna patrzy w moje...

„Dalekam od mej doby, o tysiąc mil dalekam”... Tak, to jest poetyckie wykreślenie szerokości geograficznej, pod którą dojrzały te maliny, pachnące lasem, rosą łez i wspomnieniami młodości. Nie młodością samą, ale właśnie jej wspomnieniami. „Kocham czar wspomnień, smutny wdzięk dawności — myśl, że tak wiele życia przeszło tędy, życia, co, płynąc, jak dym się ulatnia — i żem nie pierwsza tu i nie ostatnia...” Mistyczny węzeł między przeszłością i przyszłością, między pokoleniami, które minęły, i temi, które przyjdą. Tęsknota i oczekiwanie. Tęsknota, która snuje się, jak cień, po kątach starego domu, wpatrzona w mętne szkła zwierciadeł, i pyta:

— Nie widział kto z was mojej młodości.

Co tędy szła?...

Oczekiwanie na „godzinę, której nie było i jakiej nie będzie wcale”... „takie młode czekanie — że się może coś zmieni, coś się może odstanie”.

Dusza Maryli Wolskiej jest duszą nawskroś romantyczną, „nazawsze zostanie dziewczyną, co w las poszła o świcie, z dzbankiem, na jagody”. Nie umie żyć chwilą. Przeszłość i przyszłość — jedna niepowrotna i ukochana, droga — przeczuwana ze drżeniem — oto dwie sfery, które, stykając się ze sobą, całkowicie przesłaniają w jej świadomości teraźniejszość. „Nic się nie kończy, nic się nie zaczyna”. „Taka rwąca, szumiąca ta woda, taki rwący, szumiący ten czas!” Z poczucia przemijania rodzi się pragnienie zatraty własnego „ja” w jedną z „godzin łaskawych”.

„Czas cię splókał, godzino łaskawa,
Czemuż razem nie splókał i mnie?”

Moment twórczego natchnienia jest niemal zawsze momentem rozterki duchowej. To samo zmęczone źródło buntu, z którego przed stu laty trysnęła kaskada romantyzmu, tylko nieco poskrócone w rozpędzie, jakby uregulowane przez artystyczny umiar, ujęte w tamy parnasizmu. Ale to samo beznadziejne szukanie siebie w rzeczywistości, to samo rzutowanie marzenia o sobie we „wczoraj” lub w „jutro”. Dumne przeświadczenie, że się przyszło na świat zapóźno lub zawcześnie; stąd byroniczna postawa wobec dnia dzisiejszego, który nie godzin

stać się tworzywem artystycznym, zanim się nie spopieli.

Radość życia, albo niedostępna, albo wyklęta, jak grzech. Usta mówią tylko to, co chcą powiedzieć, znacznie mniej, niż serce. Stąd z jednej strony wieczne poczucie niedosytu słowa:

„Własnych popiołów czują gorzki smak
Usta milejące

z drugiej — głębokie, niemal zabobonne przekonanie o zasłudze mistycznej mileżenia.

Jesteśmy świadkami średniowiecznego pomieszanego pojęć: męzne przemilczenie może być chlubnym świadectwem opanowania instynktu, wyrobienia charakteru, ale jest grzechem u poety. Przychodzi tu do głosu specyficzna etyka kobiety przełomowej, rozciągnięta i na świat sztuki: wstydlivość wobec własnego uczucia, któremu każe się występować pod maską, pod romantycznymi pseudonimami, któremu tak skwapliwie otwiera się klapy bezpieczeństwa, lokalizując je przed portretem... Stefana Witwickiego.

Jest coś wzruszającego w tem erotycznym zakłamaniu, z jakim poetka składa hołd miłości, przekreślając istotną jej treść. Tak! ta dusza na zawsze zostanie dziewczyną, nawet wtedy, gdy, jako Beata Beatrix z obrazu Rossettiego, zmęczona szukaniem samej siebie, na wieki zaslucha się w siebie.

„Nieprawda! Niczemu nie wierzyć!
Ani szczęśliwa, ni błogosławiona!
Ja tylko zasypiam nareszcie —
Prosta dziewczyna zmęczona...”

Niema mnie już na ziemi,
Nie będę nigdy w niebie;
Jak ciemnej, ciężkiej muszli
Dziś słucham samej siebie”.

To zasluchanie się w siebie wydobywa z uspioonej muszli niespodziewane akordy epickie: — wspomnienia „o dawnym Lwowie”, kto wie, czy nie piękniejsze, najdojrzałe jagody w „Dzbanku malin”. Poetka nieświadomie wskrzesza zapomnianą formę opowieści epickiej, której wielki romantyzm zadał cios śmiertelny. Gawędę! ale jakże różną od szlacheckich, przyziemnych, kurnych gawęd Chodźki, Pola, Syrokomli. Regjonalizm, ale jakże cudownie przeświecony wiarą w mistyczny związek z tymi, co odeszli! Droga mleczna wielkich duchów nad Łyczakowskim cmentarzem, widziana oczyma dziecka, wypłakana łzami polki, tej z pod zaborów, wysrebrzona słowami poety.

Umarły żołnierz — Moskale — i wiersze,
To było ze śmiercią i z Polską
Moje poznanie pierwsze.
Nie zapomniałam nic”.

^{*)} Maryla Wolska: „Dzbanek malin” — Medyka. Nakładem Biblioteki Medyckiej. 1929 r.

A zatem pokolei: grób Grottgera, Seweryn Goszczyński w trumnie i prześliczna historia o panu Tepie, co „bardzo pięknie malował akwarelę”, a podczas podróży do Egiptu ułamał rączkę mumji i tak się tłumaczył z tego czynu: „Zapewne, to była grabież, wiem; ale czyż mógł malarz otwarcie prosić o rękę królowej?”

Minęło wiele lat. Pan Tępa w starym palcie już nie przynosi małej dziewczynce biszkoptów. Pan Tępa w pracowni na Sykstuskiej dyszy płuc ostatkiem. „Zimno było, jak w krypcie... Wszak dawno palił już tylko snami o Egipcie! On, co malował Arabów i Koptów, żył cały w słońcu, sjenie i kobalcie!”

Rączka mumji leży dziś w Ossolineum. Jej widok budzi w poetce czysto kobiece skojarzenia. Znowu ta miłość romantyczna!

Długo musiała Tępą gardzić Faraonka!
Ale teraz, wiem o tem napewno,
Skoro tylko się dowie,
W jakim zimnie we Lwowie
Stary malarz umierał —
Nad egipską królową
Skrzypnie złoty futerał,
Mumia dłońią jedyną zatrzepie,
I wiem o tem napewno,
Że mu dusza twa smagła odpuści!

Albo ten obrazek z salonu lwowskiego z przed lat czterdziestu: „Tamten świat”, w którym „każdy z osobna czuł, że serca mądrością bezwiedną, kochają wszyscy jedno”, a kiedy pan Konopka deklamował „Maraton”, to

...nie szło nikomu wcale
o żadne Persy, ani stare Greki,
Ale o ten, z przestrzeni lejący dalekiej,
Czekany uparcie od lat —
Czyjś oddech, radością śmiertelną zdyszany,
Niosący wieść o wygranej!”

Znow patrjotyzm pod romantyczną maską, która przyrosła do oblicza epoki, jak maska pośmiertna.

Arcydzieło nastroju: „Brat Albert”, i wreszcie, nieporównane malowidło rodzajowe: „Pani Aszpergerowa”, znakomita artystka, która dla dziecka była zawsze, „jak obraz, wypadły nagle z ram, i zawsze patrzyłam w trwodze, jak idzie po zwykłej podłodze”. A potem... ostatni występ wielkiej tragiczki w roli tytułowej, kiedy czarny wóz wiezie ją na Łyczaków. Publiczność nie zawiodła i tym razem. Wierny Lwów przyszedł zobaczyć „jak w śmierci kulisy otwarte niosą Rognedę i Martę”, przyszedł pożegnać lady Makbet, i Gwinonę, i matkę Balladyny, i Joannę d'Arc.

„I nagle mnie opadła trwoga nierozumna:
Jakże tyle postaci pomieści — jedna trumna?”

Zamykamy książkę z głębokim przekonaniem, że do niej wrócimy znowu. Może dlatego, że i w naszych duszach błąka się pokutujący duch romantyzmu, napróżno szukając pogubionych kluczy od serca człowieka współczesnego. Może...

Zasłuchani we wczorajsze tony tej poezji, jak w szum ciężkiej, ciemnej muszli, odpoczywamy. Prości ludzie, zmęczeni...

Z ŻYCIA EKRANU

(Na drodze do samowystarczalności. — Goetel na ekranie).

Hasło popierania przemysłu krajowego było w kinematografji popularne zawsze, nawet wtedy, kiedy polskie filmy absolutnie na to poparcie nie zasługiwały. Możliwe nawet, że ta zbyt wielka pobłażliwość publiczności dla polskich filmów — ten zbyt długoterminowy kredyt, którego udzielała krajowym twórcom, wpłynął na zahamowanie rozwoju naszej kinematografji, pozbawiając ją doszczętnie wszelkich ambicji twórczych.

Na szczęście, okres ten mija. Dziś możemy już mówić o naszych filmach bez wstydu. Sam fakt, że bywały tygodnie, kiedy w Warszawie, na kilkanaście zero-ekranów*), w pięciu wyświetlano filmy polskie — mówi sam za siebie. Jest to droga do „samowystarczalności”, oczywiście względnej, gdyż e absolutnej nie może być mowy tam, gdzie w grę wchodzi wymiana wartości artystycznych (nawet największy producent filmów — Ameryka — sprowadza wybitne obrazy europejskie). Jest to już przemysł, ale czy i w jakim stopniu kinematografja polska jest sztuką? Sądę, że procentowo w nie o wiele mniejszym stopniu, niż to się dzieje w innych krajach. Wybitne talenty w kinematografji, tak samo, jak na innych polach, są dość rzadkie. Zastępuje się je pracą, doświadczeniem, zdolnościami, kulturą artystyczną — oto, co tworzy ogólny poziom produkcji filmowej danego kraju.

My również narazie powinniśmy walczyć głównie o ogólny poziom naszej produkcji. Wśród naszych reżyserów, aktorów i operatorów znajdują się ludzie zdolni a nawet utalentowani, ale na indywidualność ciągle jeszcze czekamy. Dlatego też cieszą nas najwięcej nie takie filmy, w których nagle wyrwa się jakaś dobra scena lub ciekawe zdjęcie, lecz te, w których zbiorowy wysiłek reżysera i scenarzysty, operatora i aktora łączy się w harmonijną całość. Takie filmy mieliśmy w tym sezonie dwa: „Mocny człowiek” i „Z dnia na dzień”.

Pomysłu filmowania Przybyszewskiego nie można nazwać szczęśliwym: jest to literatura, która chyba najmniej się do tego nadaje. Przyznać jednak trzeba, że scenarjusz został wykrojony zręcznie, a nawet z zachowaniem pewnych charakterystycznych cech „przybyszewszczyzny”, co także zostało podkreślone w reżyserji („nastroje” w willi za miastem). Pomimo to, że role kobiece prawie całkowicie zawiodły, całość filmu wypadła więcej, niż poprawnie, ze względu na dobry montaż, stopniowanie napięcia akcji oraz — pomysłowe szczegóły dekoracji.

*) zero-ekran — kino, w którym pokazuje się filmy, nigdzie jeszcze (w danym mieście) nie wyświetlane.



Scena z filmu „Z dnia na dzień”.

cyjne, wykraczające poza szablon (teatr). „Mocny człowiek” — to film, mogący śmiało zawędrować na każdy europejski ekran (dla amerykańskiego jest zbyt ponury) i wszędzie znaleźć swoich widzów. Jeżeli mielibyśmy doszukiwać się w nim powinowactwa z jakąś „szkołą”, to chyba najprędzej z niemiecką. Przypuszczam, że wpłynął na to współludział Grzegorza Chmury (w roli Bieleckiego), który długi czas pracował w Niemczech i specjalnie grywał bohaterów Dostojewskiego w okresie filmowego ekspresjonizmu, lansowanego przez wybitnego niemieckiego reżysera Roberta Wiene (twórca „Caligari’ego” i „Raskolnikowa” — filmów, mających swoją kartę w historii kina). „Szkoła” Chmury zaciężyła na naszym reżyserze (H. Szaro). Wpływ ten zresztą w tym wypadku nie popsuł stylu obrazu, nadal mu tylko jakąś trochę obcą fizjonomję.

Zupełnie inaczej przedstawia się film „Z dnia na dzień” (reżyseria Lejtesa) o bardzo swoistym charakterze. Nie jest to przeróbka ze znanej powieści Goetla — choć miała nią być w założeniu — lecz prosto scenariusz, napisany przez Goetla, a z jego powieścią pod tym samym tytułem niewiele mający wspólnego. Scenariusz ten jest doskonały i chociaż rozgrywa się na tle wojny, umie wydobyć na pierwszy plan to, o co w nim głównie chodzi, t. j. postacie trojga bohaterów, nie gubiąc ich w chaosie bitew, w labiryncie sal szpitalnych i w zamęcie szarżujących pulków konnicy (jak to często bywa w polskich filmach) oraz nie starając się działać na widza patryjotycznymi napisami. Jest to właściwie pierwszy polski film kameralny, w którym wyczuwa się jednocześnie rozmach scenarzysty (bo ton nadaje tu jednak scenarzysta), przyzwyczajonego do życia wśród wielkich przestrzeni. Człowiek ukazany jest tam w perspektywie przyrody, która raz bywa jego wrogiem, to znów sprzymierzeńcem, zawsze jednak jest to tylko rzeczą przypadku, gdyż ona właśnie jest najbardziej niewzruszonym i obojętnym widzem ludzkich przeżyć. Świetnie wplecione do tragedii trojga bohaterów sceny zbiorowe, pełne grozy lub humoru,

świadczą o niezwyklej intuicji Goetla w wyczuciu potrzeb ekranu. Filmowi polskiemu narodził się pierwszy scenarzysta. Należy jedynie życzyć sobie, żeby to nie był tylko przelotny flirt z X-ą Muzą.

Realizacja „Z dnia na dzień” stoi na wysokości scenariusza. Reżyser umiał znaleźć dla każdej sceny właściwy ton, nie obawiając się użycia „tłumika”. Dlatego właśnie osiągnął subtelność, którą nasi producenci tak pogardzają, uważając mylnie, że najjaskrawszy efekt jest zawsze najpewniejszy. Rozbijając niektóre epizody na fragmenty i pokazując je z różnych punktów, reżyser buduje akcję i charaktery w sposób prawdziwie kinetyczny, bez uciekania się do napisów i fotograficznego kronikarstwa — co było zawsze piętą achillesową naszych filmów. Treść „Z dnia na dzień” jest bardzo zbliżona do treści „Powrotu z niewoli” (niemiecki film kameralny reż. Joe May’a), o którym pisałam w swoim czasie na tem miejscu. Jakże jednak film polski różny jest od tamtego pod względem uczuciowej atmosfery — „klimatu”, że użycie wyrażenia *Mauvois!* Otóż „klimaty” obu filmów są tak różne, jak różną jest sentymentalna, pocziwa mieszcza niemiecka od dumnej, namiętnej, romantycznej polki — jak różne było życie w niemieckim mieście od życia polskiego osadnika.

I mówi się, że filmy nie mają swego rasowego oblicza!

Stef. H.

Z TEATRÓW

TEATR NOWY.

„Anna Christie” — sztuka w 4-ach aktach Eugenjusza O’Neill’a. Reżyserja Wacława Radulskiego. Dekoracje Wincentego Drabika.

Współczesny teatr szuka najpewniejszych dróg do serca publiczności. Trzeba mu przyznać, że w wyborze jest i niewybredny, i ryzykowny. Balansuje między sztuką psychologiczną a melodramatem ze swobodą zawodowego linoskoczka, wykonującego salto-mortale na wysokości pięćdziesięciu pięter. To pięćdziesiąte piętro — to rekord powodzenia. Żeby go osiągnąć, warto się nawet skompromitować.

Ostatnia премjera Teatru Nowego nie jest kompromitacją, ale jest pudłem. Typowym myśliwskim pudłem „niedzielnego strzelca”. Gdybyż to był chybiony strzał kłusownika, mistrza w podchodzeniu ludzkiej zwierzyny, namiętnego podpatrywacza tajemnic sytuacyjnej kniei! Gdzietam! Prostu, łowy burzuja, któremu udało się wytropić grubą zwierzynę, ale gdy przyszło do strzału, palnął w powietrze. Zmarnowany nabój! Oto najtrafniejsze określenie „Anny Christie”.

Temat nie jest zły. Doskonałe są zresztą postacie. Ten boman-pijanica, wilk morski, któremu na starość przypomina się, że jest ojcem; ta córka-prostytutka, na pokładzie ojczyznej barki odzyskująca zdrowie fizyczne i moralne; ta Marta, energiczna i prawa eks-kochanka żeglarzy; ten młody irlandzki marynarz o muskułach ze stali, a sercu z wosku — galerja typów filmowa niemo, ale żywa, mocna w konturach, zdecydowana w wyrazie. Za każdym z tych ludzi wlecze się jego przeszłość, jak cień. Ale tylko dla Anny ta przeszłość jest zmorem, która dławii jej młodość i staje, jak mur, między nią a ukochanym.

Zagadnienie prostytucji, zagadnienie czysto społeczne, staje się zawiązkiem tragicznego konfliktu w życiu jednostki. Jest chwila, kiedy sztuka nabiera akcentów feministycznych. Przez usta Marty krzyczy bunt przeciw krzywdzie, przeciw tym potrzaskom, jakie „męska zmore” zastawia na kobietę, aby ją zamienić w zwierzę, zohydzić i złupić i niepozwoić być napowrót człowiekiem. Spowiedź Anny, zapędzonej w ślepią uliczkę przez miłość młodego marynarza i starce przywiązanie ojca, ma mocne akcenty prawdy życiowej, ma nowoczesny patos zbiorowej krzywdy, wołającej o pomstę do nieba czy szatana, bo od ludzi sprawiedliwości spodziewać się nie może.



Scena z filmu „Z dnia na dzień”.

I to jest właśnie najmocniejszy strzał, niestety, chybiony. Autor zdawał się celować w zmurszałe przesady społeczne, a trafił w próżnię. Pół obrotu na miejscu, wtył zwrot, jak transformista zmienił twarz, i, zamiast piorunowego oblicza rzeczownika sprawy kobiecej, ujrzał naiwnie uśmiechniętą fizys pocziwego cyrulika, angielskim plasterkiem zalepiającego jęczące rany społeczne.

To nie, że Anna krzyczy: „Nienawidzę was! Wszyscy jesteście jednacy!” Anna kocha Mąta, on jej „przebaczy”, w myśl nietykalnej podwójnej moralności, pobiorą się i będą mieli dwanaścioro dzieci. Szkoda, że nas nie zaproszono na chrzciny. Sądząc po tem, cośmy widzieli podczas oświadczyń i żaręczyń, kufle i stolki latałyby w powietrzu. Nóż i rewolwer teżby nie próżnował. Wiadomo! w amerykańskiej sztuce ludzie tłuką się i kochają, kochają i tłuką: taki obyczajowy przekładaniec cieszy się tam największym popytem.

Sztuka była wyreżyserowana i zagrana bez zarzutu. Gwlikowski powinien dostać dyplom zasługi od Ligi morskiej i rzecznej za swoją kreację starego żeglarza. Broniszówna trochę po ibsenowsku ujęła rolę Anny. Chaveau w epizodycznej roli Marty, która poto jest chyba potrzebna, żeby wysłuchać wyznań Anny, stworzyła postać żywą, prostą i szczerą. Hnydziński z powodzeniem zaprezentował atletyczny tors i prymitywną psychologię marynarza. Pokład barki z widokiem na port w drugim akcie był jeszcze jednym arcydziełem Drabika. S. P. O.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

MOŻEMY BYĆ DUMNI Z POLSKICH AUTOREK.

Tydzień propagandowy książki nie znalazł głębszego echa w prasie codziennej, nie wiele wychodząc poza ramy szablonu. Więcej zainteresowania wykazały pisma tygodniowe.

„Bluszcz” poświęcił „Książce w życiu kobiety” specjalny numer, wypuklający rolę kobiet w czytelnictwie, z punktu widzenia historycznego, społecznego i literackiego.

„Wiadomości literackie” dały na szpaltach zwiększonego numeru miejsce licznym i doborowym fragmentom utworów młodych pisarek. Fragmenty te ukazują nam twórczość kobiecą w bardzo ciekawym przekroju psychologicznym. Śmiało powiedzieć można, że młode autorki polskie weszły w głąb życia we wszystkich jego dziedzinach. Psychika kobiety-matki („Trzy fragmenty” Ewy Szelburg), dola umęczonej pracownicy („Jest w domu” Marji Kuncewiczowej, „Fragment powieści” M. H. Dąbrowskiej), to struny już poruszane, ale zawsze wibrujące głębokim dźwiękiem.

Zato w jakim ostrym, nowym świetle staje przed nami stosunek syna do matki (Fragment z drukowanej obecnie w „Bluszczu” powieści: „Zawalidroga” H. Naglerowej), jaką próbę historjografji psychiki kobiecej daje „Rozmowa kobiet o Narcyzie Żmichowskiej” Ireny Krzywickiej. Na niedotykane zupełnie dotąd przez kobiety tereny wstępuje Stanisława Przybyszewska w „Komentarzu psychologicznym do sprawy Dantona”.

Trudno wymieniać wszystkie, tak licznie w tym numerze reprezentowane autorki, wspomnieć jeszcze należy o najoryginalniejszym i może najgłębiej w istotę zagadki bytu sięgającym maleńkim fragmencie „Sentymenty” J. Wielopolskiej.

Twórczość poeticka, aczkolwiek reprezentowana przez znane pióra (Hłakowiczówna, Pawlikowska, Mortkowiczówna), mniej się wypukla. Najsilniejsze wrażenie wywiera wiersz „Dziecko listopadowe” F. Kruszwskiej. W nieodgadnionym procesie twórczym stopił się tu nowoczesny pesymizm z przedziwną tkliwością i klasyczny stoicyzm z... omal nie bajronizmem.

Ze imiona autorek polskich znane są nietylko u nas, wykazuje fakt, iż rozpoczynający ten numer, ciekawy fragment autobiograficzny: „O sobie” Zofji Nalkowskiej, został przez autorkę napisany na zaproszenie redakcji monachijskiego wydawnictwa: „Das Führende Frauen Europas”.



Powrót Curie-Skłodowskiej do Francji.

POWRÓT CURIE-SKŁODOWSKIEJ

Po parotygodniowym pobycie w Ameryce, Curie-Skłodowska powróciła do Francji statkiem „Ile de France”. Natychmiast po wylądowaniu, musiała wielką uczoną udzielić wywiadu tłumom oczekujących ją dziennikarzy. Obok gorących słów uznania dla Ameryki, w której doznała entuzjastycznego przyjęcia ze strony prezydenta Hoovera, przedstawicieli nauki, młodzieży akademickiej i całego społeczeństwa, dwukrotnie zaznaczyła Curie-Skłodowska w swojej rozmowie z reprezentantami prasy swoją polskość, podkreślając, jak wielką radość sprawia jej fakt, że otrzymany w Ameryce rad ofiarować będzie mogła Warszawie, swemu rodzinnemu miastu, a dalej, że nadzwyczaj miło jej było słyszeć z ust Prezydenta Stanów wyrazy przyjaźni i pochwał dla Polski.

SZYBKI ROZWÓJ POLSKIEGO PIELEŃNIARSTWA

Łącznie z obchodem Dziesięciolecia istnienia Polskiego Czerwonego Krzyża, odbyła się uroczystość poświęcenia Szkoły Pielęgniarstwa P. C. K. w Warszawie, przy ul. Smolnej 6.

W pięknie ubranej kwiatami sali stanęły w półkole uczennice Szkoły w niebieskich mundurkach i białych fartuszkach. Ks. Biskup Gall, w obecności Pani Prezydentowej Mościckiej, Komitetu Gł. P. C. K. i Zarządu Gł. P. C. K., p. Devey, p. Crowell, przedstawicielki fundacji Rockfeller'a, delegatów Okręg. P. C. K. p. Gielguda, przedstawiciela Ligi Czerwonych Krzyży w Paryżu i Międzynarodowego Komitetu C. K. w Genewie, gen. Roupperta oraz zaproszonych gości dokonał poświęcenia Szkoły. Następnie przemówił do zebranych, zaznaczając, że praca pielęgniarki powinna zawsze opie-



Poświęcenie szkoły pielęgniarek P. C. K.

rać się na miłości Boga i bliźniego i chęci ulżenia cierpieniom, do czego dopomoże gruntowne wykształcenie w zakresie pielęgniarstwa, i nie wątpi, że uczennice, wychodzące z tej Szkoły, będą również pełne poświęcenia, jak siostry Czerwonego Krzyża, które widział niosące pomoc rannym żołnierzom w czasie wojny.

Hr. Marja Tarnowska, Przewodnicząca Korpusu Sióstr P. C. K., odpowiedziała J. E. ks. Biskupowi Gallowi, stwierdzając w swem przemówieniu ogromny rozwój i postęp polskiego pielęgniarstwa, gdy przed 8 laty istniała jedna szkoła pielęgniarstwa, założona z inicjatywy i pod kierunkiem Amerykańskiego Czerwonego Krzyża, dziś mamy już 5 szkół wzorowych, a obecnie otwarta została szósta, powołana do życia przez organizację polską i pod kierunkiem polskich, wykwalifikowanych pielęgniarek.

Uroczystym momentem było wręczenie przez Prezesa Komitetu Gł. Polskiego Czerwonego Krzyża, hr. Henryka Potockiego, medalu Florence Nightingale za wybitną pracę na polu pielęgniarstwa dwóm siostrą P. C. K.: pannie Helenie Nagórskiej, Dyrektorce Szkoły Pielęgniarstwa P. C. K. w Warszawie, oraz p. Rozalji Jachimowicz, pielęgniarce na punkcie emigracyjnym w Wejherowie.

Po udekorowaniu sióstr, Pani Prezydentowa Mościcka, J. E. ks. Biskup Gall oraz część zaproszonych gości zwiedzili Szkołę.

Mieści się ona w dwóch budynkach: w jednym jest jadalnia, bawialnia, kancelaria i kuchnia, w drugim sale wykładowe, demonstracyjne, kuchnia dietetyczna, laboratorium chemiczne i bakteriologiczne oraz sypialnie uczennic i pokoje instruktorek. Szkoła obliczona jest na 60 uczennic, kurs trwa 2 lata, obecnie przyjęte już są dwa kursy, w ogólnej liczbie 40 uczennic. Najbliższy kurs rozpocznie się w lutym.

NOWE SIŁY KOBIECE W POLICJI

Świeżo zakończony został 5-cio miesięczny Kurs policyjny dla kobiet, odpowiadający normalnej szkole dla szeregowych policji. Komendant główny policji plk. Maleszewski rozdał świadectwa 45-em absolwentkom kursu, z których większość obejmie służbę w walce z handlem żywym towarem.

Większość nowych policjantek ukończyła 6 klas gimnazjum. Przejdą one jeszcze 6-cio tygodniowy kurs wykształcenia praktycznego.

ZAKOŃCZENIE RACHUNKÓW P. W. K.

Komitet Wystawy Pracy Kobiet na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu wobec likwidacji, dyżuruje na Zam-

ku codziennie od 11 r. do 2 pp. i prosi usilnie związki, stowarzyszenia i osoby prywatne o uregulowanie zaległych należności za wzięte żetony.

WSZYSTKIE STOWARZYSZENIA KOBIECE POWINNY SIĘ OBZNAJMIĆ Z OBRONĄ PRZECIWGAZOWĄ

Komitet Stołeczny Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej zorganizował dla Warszawskiego Klubu Wioślarek kurs obrony przeciwgazowej. Wykłady bezpłatne odbywają się w lokalu Komitetu (Chmielna 27), program obejmuje: technikę walki, chemję gazową, obronę indywidualną i zbiorową, oraz ratownictwo i ćwiczenia praktyczne. Kurs, obliczony na 40 osób, trwać będzie 25 godzin wykładowych. Po egzaminach, absolwentki uzyskają stopień instruktorki obrony przeciwgazowej.

Byłoby niezmiernie pożądanę, aby wszystkie liczniejsze stowarzyszenia kobiece poszły za przykładem Warsz. Tow. Wioślarek. Ruchliwy i energiczny Komitet Stołeczny L. O. P. P. poczyni napewno wszelkie ułatwienia instytucjom, które będą chciały zaznajomić swe członkinie z zasadami obrony przeciwgazowej.

Ś. P. AMELJA BORTNOWSKA

W tygodniu ubiegłym zmarła ś. p. Amelja Bortuowska, długoletnia redaktorka „Gazety Świątecznej“, którą prowadziła początkowo wspólnie z Promykiem, następnie sama. W czasach największego ucisku poświęciła się pracy publicystycznej dla ludu, szerząc oświatę. Każdy numer pisma zawierał przeważnie jej utwory. Zagrożona ślepotą, złożona w ostatnich latach życia chorobą, nie przerwała swej pracy, służąc przez lat 40 swym ukochanym celom.

NIEMCY NIE BOJĄ SIĘ KOBIEC-SĘDZIÓW.

Rząd niemiecki wszedł śmiało na drogę równouprawnienia kobiet w funkcji sędziowskiej. Po pierwszym mianowaniu, przed kilku laty, dr. Marji Hagemeier sędzią cywilnym w Bonn, poszły szybko dalsze nominacje kobiet-sędziów. W Sztuttgarcie urzęduje obecnie dr. Ilza Beiswanger, w Szarlottenburgu dr. Marja Munk, w Berlinie dr. Kles, której pierwsze wystąpienie wywołało swego rodzaju sensację, ukazała się bowiem w przepisowej tozde, ale z zawieszonym na niej sznurem pereł. Niewiele pomogły jednak sarkastyczne dowcipy o sędzim w kolji i „sędziowskiej premierze“, p. Kles okazała się wybitną prawniczką i urzędniczką poważną. Dwie kobiety, dr. Katarzyna Müller i dr. Edyta Klausner, pełnią obowiązki sędziów pracy; z tych dr. Klausner, jako specjalistka w sprawach służby domowej.



Rozdanie świadectw policjantkom.

DOM ANIELSKI

(dokończenie)

Gość mieszka sobie dowolną ilość dni w oddanym mu pokoju, z gospodarzem i domownikami spotyka się przy stole na lunch i diner, a pozatem może czynić, co uważa za stosowne. Kuchnia dla gościa się nie zmienia, anglik bowiem jada dobrze i zdrowo zawsze, a nie na pokaz. Człowiek prawdziwie kulturalny jest zawsze sobą i jednakowo żyje dla siebie, rodziny, czy gości. Gościnność wiejska nie różni się od miejskiej; w Londynie, bowiem, nieraz trzeba gościa na noc zatrzymać, jeśli zagnała zapadnie taka mgła, że na krok nie przed sobą nie widać. Pokój gościnny w domu miejskim jest koniecznością, a nie wskaźnikiem specjalnego bogactwa lub snobizmu.

Wielką stosunkowo część domu zajmują ubikacje gospodarskie, urządzone zazwyczaj bardzo praktycznie i z komfortem. Celowość święci tu prawdziwy triumf. Kuchnia służy wyłącznie do gotowania i do przyrządzania potraw. Zmywanie naczyń odbywa się w osobnym lokalu, wyposażonym we wszystkie potrzebne urządzenia. Zapasy kuchenne przechowuje się w t. zw. *pantry*. Służba ma swoje wygodne pomieszczenie (*servants-hall*), osobne pokoje sypialne (na poddaszu), a często obok kuchni specjalną jadalnię.

Domy większe, obok zwykłych służących, posiadają przełożonego służby, który zwie się *butler*; sprawuje on jednocześnie opiekę nad piwnicą i srebrnym stołowem. Służba żeńska podlega znowu *housekeeper*, która jest odpowiedzialna za zakupy gospodarskie, za bieliznę stołową i domową, za porcelanę, szkło i inwentarz całego domu. Jej podlega również mała kuchenka (*still-room*), gdzie przyrządza się herbatę i delikatne pieczywo deserowe. Domy miejskie są nieco skromniej wyposażone w służbę, a tem samem i w jej pomieszczenie. W przeciętnym jednak domu mieszczańskim musi być kucharka, pokojówka, lokaj, szofer, podkuchenna, pomywaczka, a nadto specjalna pomoc do robót cięższych.

Powszechnie uznaną w Anglii zasadą jest, że praca architekta nie kończy się na wybudowaniu domu: do zakresu jego działania należy także i umeblowanie, którego nie zwykło się zostawiać na pastwę stolarzy, tapicerów i wszelakiego innego przypadku. Dlatego całe wewnętrzne urządzenie, nawet w najdrobniejszym szczególe, posiada zwykle wartość artystyczną. Meble, specjalnie dla wszystkich pokoi projektowane, albo co najmniej odpowiednio dobrane, umiejętnie rozmieszczone — tworzą harmonijną całość.

Pokoje w domach angielskich są nieprzechodnie, każdy zatem stanowi zamkniętą całość. W żadnym pokoju nie brak kominka, uświęconego tradycją i upodobaniem. W otworze, obramowanym zazwyczaj marmurem, wesoło płonie ogień, rzucając smugi świa-

ła na podłogę i ściany: tu i ówdzie igrają zwiewne i zmienne cienie. Na marmurowym gzymsie nad kominkiem szmerze zegar starodawny, od czasu do czasu wydzwaniając miarowo kwadranse i godziny. Niekiedy posłusznie wygrywa starą piosenkę iryjską, albo francuskiego gawota czy menueta. Prawdziwy powiernik godzin samotnych i cichych, przyjaciół ognia na kominku i ludzi, siedzących cicho dookoła w wygodnych fotelach.

Na meblach angielskich mile ciąży znamię konserwatyzmu. Ogólnym charakterem przypominają one meble minionego wieku: wykonane jednak przeważnie w szlachetnych drzewach (mahoń, palisander) i nadzwyczaj solidnie, pieczętują oko szlachetnością i celowością linii i kształtów. Dalekie jednak od naśladownictwa, nawiązują nie do dawnych tradycji, dostosowując się do dzisiejszych potrzeb i upodobań. Ponieważ pokoje są niskie, więc i meble muszą do tego się stosować i nie przybierać zbyt wielkich rozmiarów. Zasadniczą cechą architektury wewnętrznej jest również umiłowanie prostoty i niechęć do wszelkiego fałszu i udawania. W zasadniczych formach mebla niema nic rewolucyjnego, usiłującego zdobyć nowoczesność i oryginalność za wszelką cenę, choćby z pogwałceniem wygody i zdrowego rozsądku; przeciwnie: tradycyjne formy naginają się stopniowo do dzisiejszych potrzeb i pojęć estetycznych. A więc typowa ewolucja, dokonująca się na drodze wnikania w istotę zagadnień praktycznych, a nie teoretyczno-estetycznych.

Nad tym ruchem unosi się jeszcze ciągle duch W. Morrisa, żywiącego zasadniczą pogardę dla wszelkiego ornamentu, a wielbiącego czystą i celową konstrukcję. Bez przesady możnaby powiedzieć, iż typ mebla angielskiego nie odbiega od form, ustalonych na początku XVIII stulecia przez znakomitych artystów-stolarzy: T. Chippendale, R. A. Hepplewhite i T. Sheraton'a. Dzisiejsze meblarstwo fabryczne stało się naturalnym spadkobiercą ich idei i dzięki temu nawet najtańszy mebel angielski posiada pewne piętno artystyczne. Prostolinijność idzie w parze z umiarem konstrukcyjnym, lekkość bardzo dyskretnie używanej dekoracji doskonale harmonizuje z materiałem. We wszystkich meblach uderza skromność i rzeczowość, doprowadzona do ostatnich konsekwencji. Wielka ilość małych stolików, szafek, komódek, foteli i krzeseł charakteryzuje każde mieszkanie. Największej stosunkowo modernizacji uległa sypialnia, gdzie dawne baldachimowe łóże przekształciło się w nowoczesne, lekkie, zazwyczaj mosiężne, a ciężkie szafy zastąpiono szafami, wbudowanymi w ściany sypialni. Nowoczesne pojęcia higieniczne przyczyniły się decydująco do stworzenia nowego i pięknego typu pokoju.

Lekkie meble zapanowały również niepodzielnie w *drawing-room*, jako pokoju, w którym spędza się czas na miłej i swobodnej pogawędce, lub słucha-

niu muzyki, wymagającej łatwej i częstej zmiany miejsca. Małe, wykwintne stoliki, odpowiednie do tego krzeselka i dwuosobowe kanapki, pełne elegancji i wdzięku witryny, a wszystko ustawione z myślą o kominku, jako centralnym punkcie całego pokoju. Drobne przedmioty dekoracyjne rozrzucone również z wdziękiem i taktem. Żadnego fałszu w materiale lub formie. Kryształ, brąz, porcelana stara lub nowa, srebra dopełniają harmonijnej całości. Niekiedy pojawi się jakieś dzieło egzotyczne, wytwór sztuki z Polinezji, Afryki lub Azji; naogół jednak, jako dodatek, przeważa zawsze zdobniczy drobiazg, obraz, sztych lub minjatura, będąca zazwyczaj szacowną pamiątką rodzinną.

W tak pojętem urządzeniu domowem jest bardzo wiele szczeroci i prostoty. Przebija ona na każdym kroku. Przewodnią bowiem myślą tego domu jest zmysł rodzinny i praktyczny, wspomagany względami higienicznymi, które zespołem swoim tworzą tę dziwną, a tak miłą kulturę domu angielskiego. Niema tam zdrożnej chęci udawania, błyszczenia za wszelką cenę blaskiem fałszu i naśladownictwa, żadnej konwenansowej pretensjonalności. Wszędzie uderza umiłowanie prawdy codziennej, nie tej odświeżonej, przywdziewanej na pokaz, pod którą kryje się fałsz i obłuda, ale tej, będącej rzeczywistym wyrazem równowagi umysłu.

Dookoła każdego domu rozciąga się, choćby najskromniejszy, co do rozmiarów, ogród. Nie jest on jednakże wdrożonym w nasze wyobrażenia ogrodem o wielkich drzewach, rozlicznych krzewach i soczystych trawnikach, strumykach i wodospadach; jest to niewielki ogródek, ukształtowany architektonicznie, doskonale harmonizujący z architekturą domu. Nie znaczy to, aby dzisiejsza sztuka ogrodnicza angielska nawracała do tradycji francuskiego baroku lub rokoka. Ogrody angielskie lubują się w formach drzew strzyżonych, żywopłotów i wszelkich ozdób, ujmujących w obramowania kwietniki.

Osobną całość tworzy zwykle ogród warzywny, umieszczany z drugiej strony domostwa; otacza się go niekiedy murem, a na skrzyżowaniu ścieżyn urządza się wodotrysk lub cysternę. Dalszą część zajmują oranżerie, w których hoduje się rzadkie rośliny, kwiaty, a nadto prowadzi się kulturę owoców południowych, winogron, brzoskwiń, melonów, bananów, ananasów, fig i t. p. Sad zajmuje również nie ostatnie miejsce w gospodarstwie domowem, zwłaszcza, że w Anglii owoce należą do codziennego i niezbędnego pożywienia.

Powyżej opisany dom — to nie siedziba magnacka lub człowieka bardzo zamożnego; jest to typowy dom, zamieszkiwany przez rodzinę średnio zamożną, naszymi stosunkami mierząc, przez rodzinę zawodowej inteligencji. Nie potrzeba chyba dodawać, że dom taki jest wyrazem długowiekowej kultury i niezamąconego rozwoju, a jednocześnie dokładnem odbiciem

angielskich upodobań i właściwości. Ile mieści się w tem pierwiastków cennych, odczuje najlepiej ten, kto źle się czuje w przeciętnem mieszkaniu czynszowem, kogo dławi brzydota i banalność naszych miejskich domów i mieszkań. W dążeniu do angielskiego ideału zawiera się cały zespół usiłowań natury estetycznej, u nas jeszcze, niestety, nierozbudzonych, a nawet nieujawnionych.

A jak wiadomo, kultura polega na budzeniu i zaspokajaniu coraz to nowszych potrzeb, zwłaszcza w kierunku prostoty i uszlachetnienia form życia codziennego.

Stanisław Machniewicz.



U ZIEMIANEK

W trzech niedużych salkach lokalu Stowarzyszonych Ziemianek umieszczono tyle ciekawych, pożytecznych i pięknych rzeczy, że trudno je nawet wyliczyć. Nazywa się to: „Wystawa-kiermasz“. Obesłały tę wystawę wszystkie nieomal instytucje społeczne, współpracujące z Ziemiankami, bogactwo więc eksponatów, pomimo szczupłego miejsca, jest wielkie.

W pierwszej salce od wejścia rozłożył swe hafty, batiki, malowidła, tłoczenia na skórce i inne wyroby artystyczne — „Ars“. O wysokim poziomie tych wyrobów świadczy najwymowniej ta okoliczność, że większość eksponatów już figurowała na „Pewuce“ w Poznaniu. Tutaj można je dokładniej obejrzeć, gdyż nie giną pomiędzy tysiącami innych, większych przedmiotów. Zresztą — chociaż Wystawa Krajowa trwała cztery miesiące, setki i tysiące osób jej nie oglądały w całości, gdyż nawet przy nadzwyczajnych ulgach przejazdowych nie wszystkich stać było na to.

Środkowa, największa sala mieści przede wszystkim stoisko z Lasek — zakładu dla ociemniałych Matki Czackiej. Meble wyplatane, wyroby koszykarskie, szczotki. Niektóre z tych wyrobów są ozdobione malowidłami — roboty ociemniałych. Dziwne połączenie, nieprawdaż? Ale zmysł dotyku zastępuje im zmysł wzroku; naturalnie, że możliwości artystyczne są dosyć ograniczone.

Towarzystwo Ochrony Kobiet uczy czapkarstwa, fachu łatwego, którego wyroby znajdują łatwy zbyt — to też eksponuje różne przykrycia głowy, jako też starannie wykonaną bieliznę. Obok widzimy śliczne sukienne kwiaty pani Heybowiczowej — niezbędny dodatek do zimowego okrycia — kwiaty, nie bojące się deszczu, ani śniegu.

Na dużych stołach wyroby różnych Kół powiatowych, prace pań ze dworu i włościanek ze wsi — bo właśnie w tem leży największa zasługa Ziemianek, że umiały trafić do tych młodszych sióstr swoich, uspołecznić je, że tak powiem, wpoić w nie poczucie piękna, zachęcić do robót ręcznych, nieraz wysoce artystycznych. Mam to głębokie przekonanie, że gdyby kto zorganizował eksport haftów, wycinanek, lalek w strojach ludowych i tym podobnych artykułów domowego przemysłu ludowego — znalazłyby one szeroki zbytni zagranicą, głównie w Ameryce, żadnej wszelkich nowości ze starego świata.

Jeszcze za czasów niewoli rosyjskiej zaczęły Ziemianki swą pracę wśród ludu. Rozwijały w gospodyniach wiejskich — swoich najbliższych sąsiadkach — zamiłowanie do czystości, ładu i porządku, budziły poczucie piękna w otoczeniu, a zyskując coraz bardziej ich zaufanie, podtrzymywały w nich miłość dla kraju i religji.

Działalność ich przedwojenną ślicznie zobrazował w swem serdecznem przemówieniu profesor Edmund Jankowski, senjor naszych ogrodników, którego jubileusz niedawno święciła Warszawa i kraj cały.

Nie sposób wyliczyć wszystkich instytucyj wystawiających; jedne szeroko rozłożyły swe bogate zbiory, drugim w udziale dostał się mały stoliczek.

Oto Towarzystwo Pomocy Ofiarom Wojny — które obecnie opiekuje się zredukowanymi urzędniczkami, dając im warsztat pracy w postaci tkactwa ręcznego: szale i plety, materiały na ciepłe suknie, kostjумы, szlafroki, gotowe kamizelki — w ogromnym wyborze czekają tylko nabywców.

W narożnym saloniku znalazły miejsce różne smakołyki wyrobu pań-ziemianek. A więc: konfitury, soki, kompoty, konserwy jarzynowe, różne wyborne sucharki i pierniki, nawet ładnie tuczony drób bity — nęca apetyt. Kilimy, hafty, wycinanki, lalki w strojach ludowych, wszystko to zgodnie zapełnia niedużą salkę, harmonijnie ułożone, jak to umieją nasze Ziemianki, pomiędzy którymi nie brak artystek dużej miary.

W kąciку, około pieca, znalazło miejsce i „Kół Gospodarstwa Domowego“, z wynalazkami swoich członkiń: suszarkami do naczyń, automatycznymi kubelkami, szczotkami, książkami kulinarnymi i rachunkowymi.

Największej jednak sztuki dokonały te panie, przekształcając ciemny i ponury pokój przechodni, służący zwykle za skład nasion, w śliczną kawiarenkę. Ściany pokryły barwne kilimy, wszędzie naręcza świeżych kwiatów, a bufet zastawiony domowymi tortami, pączkami, ciastkami. Pachnie wyborna kawa „po wiedeńsku“, a kto w tłoku nadto się zgrzeje, może się oświeżyć tutaj wybornymi lodami i ponczem rzymskim.

O pół do szóstej popołudniu, w sobotę 23 listopada, zabrzmiały uroczyste dźwięki Chopinowskiego poloneza, poczem prof. Jankowski przeciął wstęgę i licznie zebrani zaproszeni goście — prawie wyłącznie kobiety — weszli, a raczej weszły, do sali, aby wysłuchać serdecznych słów przemówienia sędziwego wiekiem, lecz w pełni sił duchowych i fizycznych nestora naszych ogrodników. Mówił on o długiej drodze, przebytej przez Ziemianki, o obecnej ich pracy i o dalszych celach, podkreślając to, że nigdy nie odchyliły się od raz obranego hasła — „Bóg i Ojczyzna!“

W chwili, gdy to piszę, nie jeszcze nie wiadomo, czy tak ładnie pomyślana i dobrze wykonana impreza się uda, czy kiermasz przyniesie zysk jaki na cele stowarzyszenia, jako też instytucjom, biorącym udział w wystawie. Miejmy nadzieję, że stolica, zawsze popierająca każdą myśl piękną i szlachetną, wyszle tłumy na zwiedzenie „Wystawy-Kiermaszu“.

Pani Elżbieta.

REORGANIZUJMY NASZE OGNISKA DOMOWE

Do mojej kucharki przychodzi często w odwiedziny (gdy jestem w domu nieobecna) „pani“, sąsiadka z przeciwka, i zwierza się jej z różnych dolegliwości życia. Ostatnio, wyczerpawszy tematy bieżące, jak: niegodziwość gospodarza, który upomina się o komorne, arogancję dozorey, żądającego, aby mu sześćnastoletni wyrostek, syn „pani“, nie mówił: Aleksanderze, tylko: panie Aleksander — pani, żona zresztą dość wysokiego urzędnika, pyszniącego się, że pochodzi „ze starego rodu“, i matka kilkorga dzieci — dorzuciła mimochodem na pożegnanie: „nigdy jeszcze nie miałam tyle pluskiew, co w tem mieszkaniu!“

— Dlaczego pani nie wytępi pluskiew? to przecież nieprzyjemnie, jak gryzą — powiedziała filozoficznie moja kucharka.

— Niewarto tępić, już i tak nie będziemy tu długo mieszkali...

Jest to fakt autentyczny; dodać muszę, że państwo ci mieszkali w tem mieszkaniu rok!! że objęli lokal po ludziach kulturalnych — nie może więc być mowy, aby zastali w domu robactwo, bo lokal, częściowo przerobiony, ostatnio był niezamieszkały.

Ta maleńka ilustracja stosunków w Polsce, przerażających pod względem czystości, dałaby się nieśtety, przystosować do bardzo licznych rodzin, jedzonych żywcem przez robactwo, a niemogących zdobyć się na energję walki z niem. I ten spokój, ta filozofja!... to zostawianie następcy owoców swego tępego niechlujstwa!...

Mamy na jedwabne pończochy (koniecznie!); mamy na przyjęcia (wyżej wymieniona rodzina lubi życie towarzyskie); mamy na rozrywki (czytaj: kino, teatryki) — ale nie mamy na zakupienie flaszeczki terpentyny, esencji octowej i karbolu. Ta mieszanina wytępi bezwzględnie wszystko, co jest w domu do wytępienia; trzeba tylko uważać, aby nie prysnąć na skórę, którą momentalnie spala. Nie mówię już o oczach.

Nie mamy więc potrzeby czystości, uważając współżycie z robactwem za rzecz naturalną.

Mam znajomego, który, zropaczony brudem w Polsce, wziął się na radykalny sposób. Dużo podróżuje. Będąc zamożnym człowiekiem, staje w pierwszorzędnym hotelach. Każdą pierwszą noc poświęca na obserwację... ruchów nieprzyjaciela, o ile taki znajduje się w pokoju, względnie w łóżku. „Dowód rzeczowy” w postaci kilku, czasami kilkunastu egzemplarzy więzi w pudełeczku, na ten cel przygotowanym, rano sprowadza policję, przedstawiając jej dowód rzeczowy. Oczywiście, hotel dostaje karę, a nie rzadko degradację z pierwszego rzędu na drugi.

Jest to może fatygujący, ale jedyny i jakże obywatelski sposób zwalczania naszego wroga, wewnętrzznego — niechlujstwa!

Robimy propagandę, aby Europa odwiedzała Polskę! nie śpieszmy się z nią: wymyjmy się, odrobaczmy, bo, doprawdy, zachodzi obawa, że cudzoziemcy krzykną w zgrozie: spalmy Polskę!...

I jeszcze jeden wróg codzienny i natrętny, na którego patrzymy obojętnie, niemal przyjaźnie... to mucha. Odpędzamy ją prawie przychylnym gestem, z niemal dobrotliwym uśmiechem przyglądamy się, jak rojami obsiada w kuchni nasze mięso, przygotowane do smażenia, nasze masło, chleb, konfitury, owoce; jak ze złowrogim szelestem podnosi się z nad resztek naszego obiadu lub śniadania, które pozostawiamy zawsze parę kwadransów, a nawet godzin na stole... ażeby muchy miały co jeść, choć właśnie przed chwilą siedziały na padlinie lub na czymś równie przyjemnym i wonnym.

Na miły Bóg! wydajmy wojnę muchom!! toż to roznosicielki chorób, zarazy! Ameryka od kilku już lat prowadzi bardzo skuteczną wojnę z muchami,

wytruwając je, niszcząc, odgradzając się od tej klęski skrzydlatej cieniutkimi siatkami w oknach, osłaniając i chroniąc przed nią przedewszystkiem pożywienie! Zamykamy wszystko przed muchami, chowamy przed nimi środki żywności, nakrywając je kloszami, siatkami, a także wieszając (nadewszystko w kuchniach) lepkie pasy, tanie i bardzo skutecznie łapiące muchy! Zmieniając te pasy codziennie, zmniejszamy ilość tych szkodliwych natrętów i wrogów.

Wydajmy wojnę muchom! niech każda współczesna kulturalna pani domu ma za punkt honoru zwalczanie tej plagi w jaknajszerszym zrozumieniu osobistego i powszechnego bezpieczeństwa. Znane są przecież śmiertelne ukąszenia muchy. Wystarczy, by z trupa przeniosła się na żywego człowieka. Sama trzy dni temu kazałam zakopać kota, pokrytego ruchomą powłoką spożywających go smacznie much.

Wiele w tem mieści się grozy! Temi napozór drobnymi sprawami trzeba się zająć naserjo. Stąd właśnie zaczyna się kultura i zdrowie nasze i naszych dzieci. Gdybyśmy choć mikroskopijną cząsteczkę kapitałów, wydawanych na ogólne, będące na porządku dziennym, zbrojenia (konferujemy bez przerwy o pokoju!), wydali na wojnę... z niszczącymi nas od wieków pasożytami — aż boję się myśleć, jaki świat byłby czysty i miły! A gdyby... gdyby kapitały, które pochłonęła wojna światowa, zostały użyte na pracę, oświatę, eksploatację sił przyrody, słowem — uszczęśliwienia ludzkości — to świat byłby rajem... o którym można napisać jedynie fantastyczną... powieść.

Ale nie będzie rajem, uspokójmy się! Nie przestanie być poprostu... piekłem, dopóki kobieta mądra, silna, świadoma swoich celów i środków, nie weźmie się do wprowadzenia reform we własnym domowym ognisku, będącym wszakże częścią nas samych, a przynajmniej naszym uzewnętrznieniem.

Mężczyźni, naśmiewając się trochę z nas i irytując naszemi zasięgami po władzę, wysuwają na pierwszy plan fakt, że właśnie „ognisko domowe”, ta platforma dotychczasowej prawie wyłącznej działalności kobiecej — jest fatalnie zorganizowana. Może mają w tem odrobinę racji; w każdym razie mojej sąsiadce (a takich jest legion), odkładającej walkę z pluskwami, bo już... nie warto, nie dałabym nawet

Najtańszy i najpraktyczniejszy

Kalendarz Dziecka i Matki

jest encyklopedją wszystkiego, co matka wiedzieć powinna z zakresu moralnego i fizycznego wychowania dziecka do lat 7-miu, oraz higieny kobiety, ze szczególnem uwzględnieniem okresu ciąży i karmienia.

Cena 3 zł. 50 gr.

Stron 260.

Z przes. poczt. 4 zł.

Ządać w Tow. Wyd. „BLUSZCZ”, oraz w większych księgarniach.

bardzo skromnego stanowiska w bardzo skromnym resorcie.

Irytuje nas często przeczytana w jakiejś rozkrzyczanej gazetce wiadomość, że, powiedzmy, magistrat czy inna instytucja roztrwonila przeznaczone na... itd. sumy...

Jest zupełnie słuszne, że taka wiadomość może zirytować. Pieniądze zmarnowane — to przecie zmarnowany wysiłek, owoc nieraz długiej pracy.

Zkolei przyjrzyjmy się naszym domom i domom otaczających nas ludzi. Co tam zobaczymy? jaką tam zastaniemy gospodarkę? Malutki to świadek, malutkie roztrwonienia, ale z tych malutkich roztrwonień możnaby zebrać wielkie kapitały. Wylana do zlewu zupa, bo „się“ za dużo ugotowało; wyrzucona kasza, bo „z wczoraj“; zmyty sos i masło z talerza, bo co z tem robić? w śmietniku poniewierające się skórki chleba... to rubryka roztrwonień każdego niemal domu, niezauważana, niebiorąca się zupełnie w rachubę.

A gazety, któremi się „podpala“ pod blachą... gdy na gazetowy papier sprowadzamy z Anglii rocznik setki wagonów okrawków papierów, podczas gdy nasze okrawki i niepotrzebne papiery w najlepszym razie spalamy, zamiast zbierać i dostarczać do fabryk?

Już przed wojną światową przyjaciółka moja, dla studjów mieszkająca w Paryżu, usłyszała pewnego dnia niecierpliwe pukanie do drzwi swego mieszkania. Gdy otworzyła, zobaczyła we drzwiach sąsiadkę swoją, francuzkę, która dość wzburzona, powiedziała:

— Niechże pani nie wyrzuca codziennie na śmietnik jarzyn z rosółu! proszę mi je oddać; zjem chętnie; jak można być tak marnotrawną?!

Od tego dnia moja przyjaciółka, bardzo zawstydzona, zjada wszystkie jarzyny, gotowane w zupach i rosółach, nie rozumiejąc już dzisiaj, jak mogła niszczyć je, zamiast spożywać. Oszczędność francuzek jest imponująca; wobec typowej rozrzutności polek wygląda prawie na skąpstwo, a jest przecież owocem świetnej i starej kultury. Elegancja francuzek, będąca wzorem dla kobiet całego świata, jest wysoką umiejętnością świetnego noszenia rzeczy tanich, przerabianych do ostateczności, najczęściej uszytych własnymi rękami. Prócz tego, każdy i każda z bardzo skromnych nieraz zarobków odkłada kapitalik na starość... a u nas?

Nasze domowe ogniska są tak obstawione ratami, długami, wypłatami, jak najgęstszą siecią drutów telegraficznych... maluczko, a może nastąpić krótkie spięcie! A dlaczego?

— Drożyzna, niskie zarobki, wyzysk pracy... — odpowiedź.

Tak, może, do pewnego stopnia; ale niska skala zarobków jest nagminną w całej zrujnowanej Europie. Tylko, że w Europie potrafią oszczędzać, a

my, jak kapryśne dzieci, nie umiemy sobie odmawiać tego, co posiada np. sąsiad, choćby między uposażeniem moim, a sąsiada, zachodziła wielka różnica. On ma, ja także muszę mieć! Ale z cudzej kieszeni — to niebezpiecznie i... nieładnie. Tak się u nas, niestety, dzieje, w tem się wychowuje młode pokolenie. Taki dom — to szkoła niesolidności, rozrzutności, nieładu, to uchylanie się od obowiązków, życie z dnia na dzień.

Jacy jesteśmy w domu, tacy będziemy w pracy dla innego Domu, wielkiego, wymagającego rzetelnej i solidnej obsługi — Państwa. mar.-mor



KOŁO STUDJÓW GOSPODARSTWA KOBIECEGO

W dniu 8 listopada r. b. odbyło swoje drugie zebranie plenarne. Zarząd Koła nie szczędzi trudu, aby co miesiąc dostarczyć swym członkiniom nowych ułatwień i udogodnień. Nic więc dziwnego, że zastęp pań obecnych wzmaga się z miesiąca na miesiąc, a szczupłe sale Zjednoczonych Ziemianek (Marszałkowska 149) nie są w stanie pomieścić napływu osób.

Atrakcyjność posiedzenia polegała na bardzo ciekawym referacie: „O nowoczesnem sprzątaniu“, wygłoszonym przez p. Irenę Szumłakowską, wskazówkach praktycznych, udzielonych przez pp. Marię Chmieleńską i Elżbietę Kiewnańską, a także na możliwości nabywania na miejscu po cenach hurtowych herbaty i oliwy nicejskiej.

Pozatem sekcja narzędzi i urządzeń domowych dostarczyła już trzech rodzajów sprzętów członkiniom, które na listę nabywczyń się zapisały. Są to: kubły z pokrywami, otwierane nogą — automatycznie, suszarki, oraz ściennie ramionka składane do czyszczenia ubrań.

W krótkich słowach pozwolę sobie streścić referat p. Szumłakowskiej, w którym niejedna z pań znajdzie szereg cennych wskazówek.

P. Szumłakowska rozdziela sprzątanie na dwie zasadnicze czynności: 1) usuwanie brudu, odpadków i t. p., oraz 2) utrzymanie ładu i porządku.

Referat swój poświęca części pierwszej. Przyczem prace związane z utrzymaniem domu w czystości, dzieli również na szereg poddziałów: 1) usuwanie kurzu, 2) zmiatanie, 3) trzepanie, czyli wyrzucanie pyłu zapomocą pewnej siły, 4) szorowanie — na mokro i 4) czyszczenie — a więc posiłkowanie się środkami chemicznymi.

Prelegentka propaguje koncentrowanie pracy, gdyż wtedy zyskujemy na czasie, przestrzeni i na wysiłku fizycznym, który zaoszczędzamy w znacznej mierze, chociażby przez nabytą wprawę w wykonywaniu poszczególnych ruchów. A więc: łózka zaścierać należy w całym mieszkaniu, potem zmiatać wszystkie podłogi, wreszcie ścierać kurze i t. p.

Przy sprzątaniu najbardziej wskazanym przyrządem jest odkurzacz elektryczny, jako pyłochłonny.

O ile warunki nie pozwalają nam na posiłkowanie się tem idealnem narzędziem pracy, musimy zastąpić odkurzacz szczotkami z knotów wełnianych lub bawełnianych, które wehlają kurz, nie wznecając go, jak to się dzieje przy użyciu szczotek włosianych.

Obecnie jest tendencja do usuwania kurzu na mokro. Zagranicą używane są jedynie meble lakierowane, dla których

zmycie wilgotną ściereczką nie jest bynajmniej szkodliwe. Gdy jednak chodzi o meble politurowane, to można z nich zbierać kurz, nasycając ścierkę preparatem specjalnym — „oecdarem“ — wynalazku francuskiego.

Jako II-gi rozdział wyżej wypowiedzianego referatu, p. Marja Chmieleńska podała szereg praktycznych i wypróbowanych wskazówek przy walce z kurzem. Zaleca jaknajbardziej gładkie wykończanie odrzwi, listew, mebli, oraz poleca również ich lakierowanie.

Bardzo na czasie jest wezwanie do pań, by wymagały stosowania mokrych trocin do zamiatania klatek schodowych, strychów i innych, więcej zanieczyszczonych, ubikacyj, gdyż zamiatanie na sucho przyczynia się jedynie do rozpylania zarazków.

W związku z potrzebą zasilenia kasy, Koło urzędu imprezę dochodową — „Czarną kawę“ — w dniu 1 grudnia r. b. Na zakończenie posiedzenia p. Kiewnarska podała kilka przepisów na surówki — salatkę ostrą i kompoty.

Marja Ankierowiczowa



BAŻANT NADZIEWANY.

Jak wszelki inny drób, bażant przez nadzienie staje się o wiele podzielniejszy. Wziąć dwadzieścia deka wątróbki cielecej, tyleż wędzonej słoniny, lub tłustych okrawków z szynki, udusić wraz z dwiema dużymi cebulami i dwiema czerstwymi bułkami. Przepuścić to przez maszynkę, wbić duże jajko, osolić, popieprzyć, wsypać majeranku. Nadziać bażanta, zaszyć otwór. Piersi i uda naszpikować, lub całego ptaka owinąć w cienki płat słoniny. Upiec, jak zwykle, polewając narazie masłem, a wkońcu wodą lub rosółem. Gdy zupełnie miękkie, rozebrać na ładne części (piersi pokrajać z obu stron w ukośne plastry), ułożyć na półmisku w całość. Farsz wyjąć, pokrajać w cienkie plastry i obłożyć nimi bażanta wokoło. Sos, pozostały na brytfannie, zaprawić łyżką mąki, rozprrowadzić rosółem lub wodą, zaprawić półkwatkiem śmietany, przecedzić przez sito, przelać do sosjerki i podać do pieczystego. Do bażanta pieczonego odpowiednim dodatkiem są wszelkie kompoty świeże i konserwowane, borówki i salaty octowe.

Przyjaciółki

198

Powiedz mi, kochana, co Ty robisz w lecie,
Że masz twarz matorną, gdy moja wciąż świeci?
Odpowiem otwarcie: dla mnie to zabawka:
Twarz odświeża śmietnie ŻAKA „PRZEMYSŁAWKA“.

PASZTET Z ZAJĄCĄ NA GORĄCO.

Trzydzieści deka mąki przesiać, wziąć piętnaście deka tłustego, zimnego masła, jedno nieduże jajko i łyżeczkę soli. Siekać to tasakiem na stolnicy, dolewając 4 — 6 łyżek zimnej wody, aż się uformuje jednolite ciasto. Nie dotykać go wcale ręką, tylko zebrać w bryłę tasakiem i wynieść na chłód.

Całego zająca wraz z przodkami i dróbkami zamarynować w lekkim occie z korzeniami. Po jednym lub dwóch dniach marynowania, comber i udka naszpikować słoniną, podłożyć masła lub szmalcu, osolić i upiec wraz ze wszystkimi drobnymi kawałkami, podlewając octem z marynaty. Gdy mięso zmięknie, zdjąć z kości comber i udka, resztę dusić tak długo, aż mięso od kości odpadnie. Oddzielnie uduścić czterdzieści deka tłustego boczk, tyleż cebuli i trzy bułki, wymoczone i odcisnięte. Przepuścić mięso zająca wraz z temi dodatkami przez maszynkę, wbić dwa jaja, popieprzyć, osolić do smaku, dodać muszkatołowej gałki lub majeranku, cytrynowej skórki, pół szklanki śmietany, lub tyleż białego wina (może być owocowe). Filety z zająca pokrajać na ładne, nieduże plastry. Półmisek metalowy lub ogniotrwały wysmarować masłem, układać na nim rzędami farsz i mięso. Ostatni rząd musi być z farszu. Całość powinna uformować jakby kopułę.

Ciasto, bardzo zimne, rozwałkować na pół centymetra, pokrajać na pasy. Pasy te układać na półmisku tak, aby na centymetr zachodziły jeden na drugi. Posmarować jajkiem i wstawić w bardzo gorący piec na pół godziny. Gdyby się ciasto zanadto rumieniło, przykryć je zwilżoną bibułą. Gdyby się zabardzo piekło od dołu, podłożyć cegłę lub przewróconą miseczkę.

Kości z zająca wygotować z włoszczyzną na smak. Na smaku tym zrobić zwykły sos rumiany. Przecedzić go przez durszlak, na dwie szklanki sosu włożyć pół szklanki kwaśnej śmietany, odrobinę pieprzu, zagotować raz tylko, zakończyć łyżeczką od herbaty śmietankowego masła. Sos przelać do sosjerki, już nie gotując z masłem, i podać do pasztetu.

STRUCLE ŚWIĄTECZNE.

Pół kilo mąki przesianej i ogrzanej rozczynić szklanką mleka, z której ułać parę łyżek dla rozpuszczenia trzech deka drożdży. Mleko powinno być nieco ogrzane. Wybić dobrze rozczyn, postawić dla podrośnięcia. Gdy ciasto ruszy, utrzeć dziesięć deka cukru z pięcioma lub sześcioma żółtkami. Włożyć to w ciasto, dodać łyżeczkę soli, parę cali utłuczonej z cukrem wanilii i drugie pół kilo mąki. Wyrabiać mocno, wlać pół szklanki sklarowanego masła i gnieść dalej, aż spulchnieje i od rąk odstanie. Przykryć i dać powtórnie podrosnąć. Podzielić na pięć równych części. Rozwałkować jaknajcieniej, nakładać masę makową, orzechową lub migdałową. Zwijać ostrożnie,

aby masa nigdzie nazewnątrz się nie wydostała. Dać poraz trzeci podrosnąć, posmarować jajkiem i wstawić w piec na pół godziny — do trzech kwadransy. Po wyjęciu z pieca, gorące jeszcze, posmarować rzadkim, przezroczystym lukrem utartym z dziesięcioma deka cukru-pudru i łyżką wody różanej. Zamiast smarowania strucli masą, można je po rozwałkowaniu skropić obficie masłem, posypać cukrem, utłuczonym z cynamonem i rodzynekami: sułtankami czy koryntkami. Zwiја się strucle, jak zwykle. Można też strucle, już posmarowane jajkiem, gęsto posypać krajankami w paski, słodkimi migdałami.

MASY DO PRZEKŁADANIA STRUCLI:

Makowa. Czterdzieści deka maku sparzyć wodą, potrzymać tak przez noc, odcedzić, odcisnąć w serwiecie. Mak przepuścić przez maszynkę, dodać kilka utłuczonych gorzkich migdałów, czterdzieści deka cukru, dwa jaja całe lub cztery białka. Masa powinna być bardzo gęsta, aby nie wypływała z ciasta. Kto lubi strucle ze smakiem miodowym, może połowę cukru zastąpić aromatycznym, lipcowym miodem.

Migdałowa lub orzechowa. Czterdzieści deka oparzonych i obranych z łuski migdałów słodkich i kilkanaście gorzkich zemleć na maszynce, poczem tłuc w móżdzierzu z czterdziestoma deka cukru-pudru. Gdy się dobrze zmasuje, dolać parę łyżek wody różanej i trzy lub cztery białka. Masa powinna być tak gęsta, żeby ją za ledwie można było rozsmarować. Zamiast migdałów można wziąć taką samą ilość orzechów. Orzechy mogą być laskowe, tureckie lub włoskie. Można też wszystkie te gatunki zmięszać razem. Postępuje się z nimi zupełnie tak samo, jak z migdałami.

Pani Elżbieta.

Zakochany

*Gdy ustami przyłgnę do Twych miłych rąk,
Jakbym kwiatu dotknął z nadwarteńskich łąk —
Skąd ta miękkość skórki, jej subtelna woń?
Mydło „PRZEMYŚLAWKA“ ma jedyną broń..*

199

KORESPONDENCJE

Pani Marja Woźnicka w Koluszkach. — W dziale śpiżarnianym nie potrzebuje pani nie wyszczególniać, gdyż wszystkie artykuły są już w odpowiednich działach wymienione, a na nieprzewidziane pozostawione są linijki przy końcu każdej kategorii produktów. Rubryki „Wyszczególnienie wydatków“ w książce wcale niema. Są tylko nazwy produktów, podzielone na kategorie, np. mączne, kolonjalne i t. p. Drugą rubrykę stanowi ilość. Trzecia, podzielona na trzy części, brzmi: „użyto, dokupiono, pozostało“ — i tę się wypełnia przy końcu miesiąca, przy obliczaniu zapasów śpiżarnianych.

Pani Szyjkowska w Dolhen, przez Morszyn. „Książka rachunkowa Kobiety Polskiej“ jest obliczona na jeden rok. Przewodzenie zaczynać można dowolnie od pierwszego każdego miesiąca.

Pani Fr. G. — Porąbka. — Plamy z wilgoci na materiałach czyści się następującym sposobem: pleśń dobrze wysuszyć i ostrą szczoteczką delikatnie zebrać, a potem, wzięwszy jedną część amonjaku na dwie części wody miękkiej, czystą szczoteczką lub gąbką pocierać poplamione miejsca. Następnie dokładnie wysuszyć w ciepłym miejscu i prasować po lewej stronie. Rękawiczki białe zamszowe pierze się w letnim rozgotowanym mydle i, płócze w miękkiej wodzie z paroma kroplami oliwy. Pas trykotowy dostanie Sz. Pani w firmie Szober i Szymczak — Marszałkowska 72.

Pani N. M. — Kuryłowice. — Wzorów do koronek klockowych nie posiadamy; co do kilimów, to może Sz. Pani znaleźć je w zeszycie „Modnych robót“ p. t.: „Kilimy i welniaki“.

Pani C. Zet. — Pomorze. — Trzeba cieniutką szpryką lub rozpylaczem dokładnie napuścić formaliny we wszystkie dziurki mebla, toczonego przez robaki — zginą natychmiast.

Pani J. W. — Sosnowiec. — Łalki z materiałów trzeba malować farbami tak zwanymi do prania; dostanie ich Sz. Pani w firmie J. Burof — Nowy Świat 47. Pajaca postaramy się umieścić jeszcze przed świętami. — Asparagus musi mieć nie sprzyjające warunki, kiedy drugi już ginie w taki sam sposób. Może zanadto lub za mało jest podlewany, albo stoi w miejscu, wystawionem na operację słoneczną? Asparagus lubi światło, ale nie znosi słońca. Przytem musi być często rozsadzany w odpowiedniej porze.

Klub Ogniska — Grajewo. O tego rodzaju marynacie nie slyszeliśmy.

Prosimy czytelniczki, pragnące otrzymać odpowiedź na swoje zapytania — bądź to w piśmie, bądź pod wskazanym adresem — o nadsyłanie 30 gr. na odpowiedź i o wyraźne pisanie nazwisk i adresów. Na listy anonimowe i bez znaczków na odpowiedź — nie odpisujemy.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelna) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“, Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Do ideału jeszcze daleko (w odpowiedzi p. Bronisławowi P.).

W liście do „Naszej Mównicy” określił Pan stanowisko swoje w stosunku uprawnienia mężczyzny do kobiety, dając za przykład dom i siebie. Proszę Pana, jednostki nie stanowią jeszcze ogółu. Oby takich mężów, jak Pan, więcej było, czy są? Nie wiem. Ale będą, w to wierzę.

Patrząc przez swoje dobre okulary, uważa Pan, że: w Polsce powojennej prawa równości obu płci dostatecznie się ugruntowały... że **niema o czym mówić** w tej materji. Żadna kobieta nie powtórzy tego za Panem i... żaden bezstronny mężczyzna. Jest jeszcze dużo do zrobienia dla uregulowania tych praw i wprowadzenia ich w życie rodzinne i społeczne. Są bolączki, kiedy pisze się o nich. Jest o czym mówić, kiedy kobiety zabierają głos i wypowiadają się. To nie **wojna**, tylko dążenie (według temperamentu) właśnie do **spokojnego**, równo obowiązującego współżycia małżonków, do porozumienia się przez wzajemne wypowiedzenie. Gdzież jest ta równość praw, jeżeli kobieta, zawodowo pracująca, po powrocie do swego „home” nie ma chwili spoczynku... Kiedy mąż ma czas na przespanie się poobiednie i wypoczęty idzie do kina? Czy żałuje mu tego? Nie. Czy nie ma jednak pretensji, że i ona wypocząć nie może? Ma, proszę Pana. Jest człowiekiem równych praw.

Inaczej byłoby, gdyby mąż wziął na siebie część obowiązków: zajął się dziećmi, odrobił z nimi lekcje, podał kolację, położył spać, wówczas na zmianę i żona mogłaby wypocząć, lub pójść do kina...

Nie my, ale mężczyźni sami postawili się na piedestał „pseudo-wysokości”, uważając, że przejęcie czynności matki ubliżającym jest dla nich. Różnica płci nie gra tu roli, trzeba tylko trochę dobrej woli i serca. A już choćby w poczuciu samowystarczalności, doprawdy te i tym podobne „mieszanie herbaty” należałoby usunąć. Kobieta natury swej opiekuńczej, tkliwej nie zmieni, jest jej ona przynależna, wrodzona: dlatego narzucanie **obowiązku** w tej dziedzinie jest zbyteczne i śmieszne, bunt tylko w sercu wywołujące.

Z nagromadzonych rzeczy napozór drobnych, małych a codziennych, tworzy się dysharmonja w rodzinie, a w następstwie, rozwód.

Pan widzi w Ameryce epidemję rozwodów, a u nas w Polsce? W jednej kamienicy na Żórawiej, gdy tam mieszkałam, było 5 małżeństw rozwodzących się, rozwiedzionych, lub mających się rozwieść!

W jednej rodzinie na 5-cioro dzieci, dwoje rozwiedzionych!

Trzydziestokilkuletnia kobieta zdążyła rozwieść się z dwoma mężami, a wychodzi za trzeciego! I jeszcze... i jeszcze... i jeszcze. Na jedną rodzinę, to dość.

Epidemja rozwodów zalewa nas, jak potop (co nas Ameryka obchodzi?), a Pan tego nie widzi. Nie można porównywać większej ilości danych kobiecie praw (Ameryka) z ilością rozwodów... Nie tu zło: leży ono w złym ustosunkowaniu się małżonków do siebie, tu są braki, luki, dziury, które trzeba łątać... I trzeba mówić i pisać o nich.

Semeryna Dzieciolomska z Wejheroma.

O misjach dworcowych.

Poruszona do głębi artykułem p. O. Marchwiczkiej, zdecydowałam się sprawdzić choć jeden odcinek, jedną placówkę pomocniczą, gdzie społeczeństwo walczy, a raczej usiłuje zapobiec złu, jakim jest handel żywym towarem.

W tym celu udałam się na dworzec stacji Łódź-Kaliska na pogawędkę z panią Kaszubową, która spełnia obowiązki misyjne z ramienia Tow. Ochr. Kob. Przyznaję, że byłam nastawiona na rewelacje, jakie może dać wieloletnia praktyka i doświadczenie.

Czego bo żywa, młoda imaginacja nie stworzy! Dlatego też zostałam do pewnego stopnia przytłoczona ogromem niemożliwości prowadzenia walki jawnej, na skutek ustalenia podejrzenia, gdyż nazewnętrzkat i ofiara działają w porozumieniu, zgodzie i zaufaniu.

Panie z misji dworcowych są bezsilne wobec faktu, że zbrodniarz zdoła tak omotać swoją ofiarę, takie zdobyć zaufanie, że wspólnie podtrzymują pozory legalności, i zwykle wszystkie papiery, dokumenty i t. p. sprawdziany mają w porządku.

Nikłe więc rezultaty walki społeczeństwa z ohydą handlu żywym towarem każą przyczyny szukać głębiej.

W rozmowach ze znajomymi paniami doszłyśmy do przekonania, że jedynie właściwe wychowanie i uświadomienie naszych dziewcząt zabezpieczy je przed tak straszną śmiercią moralną.

Dziewczynka musi wiedzieć, co jej grozi, gdy zawrze znajomość na ulicy, albo wsiądzie do obcego auta.

Musi umieć władać bronią i znać boks, wtedy będziemy o nią spokojni. Mnie się zdaje, że w wielu wypadkach, zaginione, to zdemoralizowane, głodne wrażeń i nowości dziewczęta.

Gorzej jest z uświadomieniem dziewcząt wiejskich. Tam łatwiej mogą zapuszczać swe sieci han-

dlarze żywym towarem, dlatego też wdzięczne pole do pracy mają panie z misyj dworcowych. Bo taką bezradną, wiejską dziewczynę, która przyjeżdża do miasta po pracę, łatwiej jest skierować na właściwą drogę, czy do biura pośrednictwa, czy do hoteliku kobiecego, pouczyć o niebezpieczeństwie.

Szkoda tylko, że warunki pracy na stacjach mają te panie, jak w Łodzi, fatalne.

Są bowiem bez lokalu, choćby najskromniejszego, w którym mogłyby załatwiać nadarzające się sprawy.

Robi się te rzeczy na kolanie. Prosto opierając się o piec, czy ścianę w głębi dworca, lub na peronie, zależnie od pory roku, a przytem momentalnie zbiera się tłum ciekawych, co ogromnie utrudnia indagację, psuje nastrój zaufania, przeszkadza porozumieniu. To jest rzecz nieznośna w całej tej pracy.

Przez własny pokój, czy gabinet, misje dworcowe zyskałyby na powadze, ważności i konieczności. A przecież ta placówka powinna być ochraniana, bo wiele może dać kobieta inteligentna kobiecie z ludu.

Tak się jeszcze dziwnie złożyło, że na st. Łódź-Kaliska pracuje tylko jedna pani. O urzędowaniu na wszystkich przychodzących i odchodzących pociągach niema mowy. Ostatecznie, kobieta pracująca jest tylko człowiekiem, nie automatem, mam więc wrażenie, że praca ta musi być siłą rzeczy połowiczna, niedokończona.

W sierpniu były panie z Tow. Ochr. Kob. z Warszawy i podobno poczyniły starania w województwie, aby te anomalje usunąć, ale narazie zostało podaw-nemu.

Lodzianka.

W Bychawie Lubelskiej.

Ktoś powiedział, że u nas w „Mównicy“ *mó-mi* się, ale gdzież jest to, co się już robi, już zrobiło?

La critique est aisée, mais l'art est difficile.

Ale tym razem znalazłam sobie coś jeszcze łatwiejszego i od krytyki i od sztuki: prosto w odpowiedzi napisać, co się już robi w danym zakątku, co się już zrobiło wysiłkiem dobrej woli, jak to zwykle, garści, garsteczki osób, dotkniętych wewnętrzną potrzebą oddania części swoich zdolności i swego czasu *pro publico bono*.

Ponieważ ja nie mam zaszczytu należenia do tych ostatnich, musiałam i tu, w naszej okolicy, udać się do pracującej na tem polu osoby: Co pani zrobiła? Jak się to robi, od samego początku, od „nic“ zaczynając? Zaraz naturalnie protest. Niema o czem mówić, takie proste, takie jeszcze zaczątkowe! Muszę tłumaczyć, że nie chodzi o „wytykanie palcem“, o reklamę osób czy instytucyj, tylko o zadokumentowanie, że kobieta nietylko ma pomysły społecznicke, nietylko mówi dużo i wzniosłe, ale że jej słowo staje się ciałem, że pracuje społecznie. Poza tem powołuję się na *suprema lex*, pożytek społeczny. Skoro ludzie przeczytają, jak się robi w naszych właśnie, trudnych warunkach, może nabiorą odwagi do zapoczątkowania...

Sesamy otwierają się. Pani S. informuje zwięźle:

„Przedewszystkiem oglądam się: co jest do roboty? Dużo. Trudny wybór. Wybieram, co pilne i czemu poddam: młodzież podrosłą, właśnie tę, której wiek szkolny przypadł na najcięższe powojenne czasy, czasy natłoku dzieci w ciasnych izbach, nauczycieli niezawsze wykwalifikowanych, warunków materialnych oplakanych. Wynieśli ze szkoły mało, zbyt mało, zdążyli jednak pochwycić w lot świadomość, że kultura jest czemś niezmiernie cennem, życiu koniecznem. Pragną dokompletować nieco braki, czytać, posłyszeć czasem mądre, dobre słowo, no i przystojnie się zabawić. Pomiędzy sobą, wszyscy równi niedolą, nie znaleźliby nikogo, szukają pomocy z zewnątrz.

Więc: „Stowarzyszenie młodzieży“. Program bierzemy z Poznania. Młodzież garnie się tłumnie. Niechęci milkną, bo rezultaty już po roku są. Jest sala, w której młodzież zbiera się w niedzielne popołudnia, czasem w dni powszednie. Śpiewają, słuchają odczytu, czytają swoje pisma. Latem majówki i wycieczki, niekiedy tańczące herbatki. Dążymy do samowystarczalności, usunięcia opieki z zewnątrz, aby radzili sobie sami, przemawiali w stowarzyszeniu, referując i roztrząsając przeczytane artykuły czy książki, w każdej wsi tworząc kółka samokształcenia. Idzie to jeszcze opornie, nieśmiało, ale już się zaczyna.

Dużo obiecujemy sobie po „kursach dokształcających“, które zamierza zorganizować miejscowe nauczycielstwo. Związkowej młodzieży mamy przyobiecane pierwszeństwo. To także będzie impreza nie bez zasługi, skoro pomyślimy, że to ludzie, ciężko pracujący fachowo, mniej niż skromnie uposażeni, ofiarują bezinteresownie pracę swoją dla pokrzywdzonych przez los.

Dla ścisłości: były i niepowodzenia: Próbowaliśmy stworzyć czytelnię; nie poszło. Przychodzenie na czytanie do lokalu, na to przeznaczonego, w oznaczonych godzinach, okazało się uciążliwem. Może, gdyby ktoś tym nieraz słabo czytającym ludziom czytał głośno... ale nie mieliśmy lektorów, chętnych do tej posługi.

Wogóle jednak Stowarzyszenie Młodzieży u nas rozwija się pomyślnie. Z czasem rozsnuje się sieć, ogarniająca wsie okoliczne; zdecentralizujemy się, bo wędrowni o x kilometrów w nasze przysłowiowe błota, zimą i jesienią w ciemnościach są, dla dziewcząt zwłaszcza uciążliwe“.

M. B. z lubelskiego.

Dla naszej starości (w odpowiedzi p. Prażmowskiej).

Serdecznie Pani dziękuję za poruszenie w „Naszej Mównicy“ kwestji zabezpieczenia starości kobiet, niepracujących zawodowo.

Dawno już myślę nad zabezpieczeniem niezależnej starości matkom z chwilą, gdy nie mogą na siebie pracować i przestaną być potrzebne dzieciom. Z radością przekonywam się, że więcej kobiet myśli o tem. Od dnia dzisiejszego zaczynam miesięcznie odkładać do kasy pewną kwotę pieniędzy, aby z chwilą powstania „Ogniska Emerytalnego“ zapisać się na jego członkinię.

S. S. — Lublin.

„Uśmiechnięty“ feljeton (w odpowiedzi Jednej z młodych).

Feljetonu p. Ejsmonda pod tytułem „Baby, ludzie i zwierzęta“ nie czytałam. Z tego zaś, co pisze o tem Jedna z Młodych, wnioskuje: 1) P. Ejsmond niesłusznie się oburzył na „babę“, robiąc alarm nad niedolą żubrów, nie różniła się ta pani niczem od autora wspomnianego feljetonu: uspokajała swoje nerwy krzykiem, jak on swoje, wściekłością, wylaną na papier. Wolno uczucia swe objawiać, jak się komu podobą. 2) Więcej i częściej ludzie (w rozumieniu p. Ejsmonda, mężczyźni) w krzykliwy i nietaktowny sposób wyrażają swe uczucia, aniżeli te „baby“, nie krępując się wcale, że są, dajmy nato, w cukierni restauracji, gdzie dobre wychowanie nakazuje nie zwracać uwagi specjalnemi wybrykami i okazywaniem swoich humorów. 3) Nie dziwię się wcale, że starsze osoby są kapłankami nienawiści do uśmiechów p. Ejsmonda, jeżeli autor feljetonu „Baby, ludzie i zwierzęta“, jest względem nich tak pełen kurtuazji i uprzejmości.

S. Śmigieliska — Lublin.

Nasza ankieta gospodarcza.

Korespondentka nasza z Królewskiej Huty, p. Lwowianka, wygłosiła w tamtejszem Kole Polek referat na tle naszej ankiety gospodarczej. Zebranie zgromadziło zgórą sto słuchaczek, które z wielkiem zainteresowaniem odniosły się do tej sprawy, zupełnie nowej na tym terenie, zwłaszcza dla kobiet ze sfer robotniczych. Odpowiedzi na ankietę napływają ze Śląska b. obficie i stanowiąc będą niezmiernie ciekawe wskazówki dla naszych sfer handlowych. Śląsk jest terenem stanowczo niewyzyskanym. Komunikowano nam już, że całe serje towarów i różnorodne sklepy miałyby tam zapewnione powodzenie.

1) Kupuję przeważnie sama z wyjątkiem artykułów spożywczych codziennego użytku.

2) W tych samych sklepach, kierując się tem, jaki mają wybór, towar i ceny.

3) Różnica między wyrobami krajowemi a zagranicznymi występuje na gruncie śląskim b. ostro, na niekorzyść krajowych. Wyroby krajowe, o ile sprowadzane, to w najniższych gatunkach. Dotyczy to przede wszystkim obuwia, wyrobów lnianych (obrusy i serwety), bielizny gotowej, rękawiczek, galanterji.

4) Nie można dostać w Królewskiej Hucie, a także w Katowicach, nici do szycia, poniżej 50 Nr. i powyżej 50 Nr., igieł zwykłych i do cerowania pończoch. Ubranie, palta i t. p. staram się kupować w Warszawie.

5) Obsługa w sklepach grzeczna, ale do wchodzących zwracają się stale po niemiecku.

J. Górkiemiczowa — Królewska Huta.

1) Sprawunki załatwiam sama, drobniejsze służąca.

2) Kupuję w tych samych sklepach stale.

3) Staram się używać wyrobów krajowych.

5) O ile widzę braki w towarach, zwracam bezwarunkowo uwagę kupcom.

6) Z wagi i obsługi jestem zadowolona.

7) Ogłoszenia czytuję często. Ułatwiają kupno poważniejszych rzeczy.

8) W „Bluszczu“ chciałabym widzieć ogłoszenia o szkołach zawodowych żeńskich, wszystkich gałęzi pracy kobiecej.

9) W większych miastach kupuję suknie, obuwie i bieliznę.

10) Jeszcze raz podkreślam, że wielkiem powodzeniem cieszyłyby się ogłoszenia o szkołach zawodowych żeńskich. Na

śląsku tych szkół jest mało. Olbrzymie rzesze robotnicze chętnieby dziewczęta tam posyłały, a panie z inteligencji udzielałyby informacji o tych szkołach.

1) Naogół sama załatwiam zakupy, jeśli czasem służąca, to pod moim kierunkiem. Samodzielnie kupuje służąca produkty gospodarstwa wiejskiego na targu, gdyż można jej zupełnie zaufać, a te zakupy udają się jej lepiej, co do ceny i jakości.

2) Kupuję stale w tych samych sklepach, dobierając spółdzielcze.

3) Nie widzę różnicy w wyrobach krajowych i zagranicznych, wszyscy usilnie popieramy przemysł krajowy, mam jedynie słabość do perfum francuskich, lecz używam ich b. mało.

4) Naogół prawie niema w naszym miasteczku towarów galanterijnych w lepszym gatunku, co się tłumaczy małym popytem, lecz, co znacznie gorsze, a powód ten sam, mamy wyjątkowo ubogi zasób w księgarni. Dotkliwy jest brak jarzyn, trudno o mleczywo, uderza też trudność dostania i drożyzna ryb, u nas (sielawy Augustowskie! ryby z Augustowskich jezior). Kg. ryby kosztuje 2 razy tyle, co kilo mięsa, bez żadnych względów proporcjonalnych, mówię tylko o cenie 1 kg. ryby i mięsa.

5) Żądania, zgłoszone do sprzedawców, nie mają żadnego wpływu, wszędzie martwy zastój, sklepy, zaczynające od „górných aspiracyj“ (w swym zakresie, wkrótce zamierają). Może przetrwać, jak widzimy, tylko małomiasteczkowy szablon.

6) W rachunku i wadze niema niedokładności. O estetycznem opakowaniu (poza jedną wzorową choć małą cukierenką) niema mowy, ani o odsyłaniu do domu z wyjątkiem względów specjalnych. Czasem trzeba czekać na właściciela, ewentualnie sprzedającego, nieobecnego. Częste są niegrzeczne odpowiedzi.

7) Co do ogłoszeń upragnionych w „Bluszczu“ najpotrzebniejsze są nowe meble i przedmioty, służące do uproszczenia życia w domu, naczynia gospodarskie ulepszone i t. p.

8) Cały splot moich warunków życiowych sprawia, iż nie wyjeżdżam po żadne zakupy; książki sprowadzam na zasadzie katalogów i ogłoszeń.

Uwagi specjalne: Przy posiadanym żelaznym kapitale, sądząc, iż z czasem w naszym miasteczku stanęłaby dobra mleczarnia w połączeniu ze sklepem wiejskim; *ruchliwa* i *dobrze* prowadzona księgarnia; pracownia gotowych ubrań oraz kapełuszy (po sklepach okropna tandeta w tym kierunku). Wobec znacznego napływu letników (przepiękne okolice!) sądząc, miałby rację bytu, z początku na małą skalę, pensjonat (koniecznie odrazu racjonalnie i nowoczesnie prowadzony) w połączeniu z restauracją, na wyższym od naszych zajazdów poziomie.

Zapalona czytelniczka i przyjaciółka „Bluszczu“ — Augustów.

Jak postępować?

Bardzo lubię „Bluszcza“; nieraz czytałam pomieszczone w „Bluszczu“ rozprawki, dotyczące dzieci. Obecnie jestem wychowawczynią 7-letniego chłopca w domu prywatnym i nie mogę poradzić sobie w rozwiązaniu kwestyj wychowawczych, dlatego uprzejmie Panie proszę o radę.

Chłopiec jest tyranem dla otoczenia, szczególnie dla najbliższej mu z obowiązku osoby, a więc dla mnie. Rodzice są przeczułeni. Jestem tu półtora miesiąca, ale widzę, że prócz męczeńskiej śmierci, jest i męczeństwo życia. Chłopiec nawet mnie bije, gdy mu się niechce wykonać zlecenia; nazywa mnie głupią, skarży przed rodzicami, mówi, żebym jaknajprędzej wyjechała etc. Ująć go ostrzej, rodzice narzekają, pofolgować mu, to on panuje nade mną i rodzice mówią, że nie umiem sobie z nim radzić, i tak źle, i tak nie dobrze; jestem między młotem, a kowadłem.

„Cóż pani zrobiła, zgłupiała pani?“ lub na odmiennie: „wściekła się pani?“, to są jego codzienne wyrażenia!

Lubi zmieniać osoby i jest dla nich jaki taki, dopóki są dla niego nowością; jest to okres mniej więcej miesiąca.

Dlatego uprzejmie proszę o łaskawe poradenie mi, jak w danym wypadku postąpić, odpowiedzieć?

Dalej, co odpowiedzieć osobie starszej, w danym wypadku, chlebobawczyni, kiedy ona wszystko chce wiedzieć, co się robi i mówi, odpowiedzieć stanowczo i grzecznie? W. M.